

szturm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radykalny nr 2/2020 (65) ISSN 2450-5439

SZTURM
ZNACZY
ZEMSTA

SZTURM.COM.PL

Spis treści

Grzegorz Ćwik - Prawdziwe podziały polityczne.....	3
Grzegorz Ćwik - Śmiech to zdrowie, czyli czego nienawidzą nasi wrogowie	18
Marcin Bebko - Państwo dobrobytu	28
Adrianna Gąsiorek - Kultura bez szufladki.....	47
Witomysław Myduj - Dresden gedenken: upamiętnienie 75 rocznicy bombardowań	52
Jarosław Ostrogńew - Co czytać? Subiektywny wybór literatury współczesnej.....	55
Maksymilian Ratajski - Samochodem czy tramwajem?	72
Antoni Tkaczyk - Marksizm a naród i nacjonalizm	78
Katarzyna Ślusarz - Kapłani.....	82
Norbert Wasik - Rola organizacji pozarządowych w społeczeństwie obywatelskim	90
Oleś Wawrzkowicz - Sacrum bellum, bellum iustum. Antyczna wzorce cywilizacyjno- kulturowe oraz rzymskie pojęcie wojny sprawiedliwej i służba chrześcijan w exercitus Romanus jako fundament etosu europejskich narodów	102

Grzegorz Ćwik - Prawdziwe podziały polityczne

Polityczne podziały są w prostej linii pochodną tego w jakim świecie żyjemy i jakie siły się w nim ścierają. Podziałów tych doświadczamy praktycznie codziennie i na każdym kroku. Sami zresztą im podlegamy, podobnie jak nasza rodzina, otoczenie, współpracownicy etc. Polityczne podziały nie są bowiem domeną wyłącznie wąskiej grupy osób zaangażowanych w politykę, funkcjonowanie partii i związanych z nim środowisk oraz instytucji jak think-tanki. Podziały polityczne dotyczą nas wszystkich i choć samo stwierdzenie w czasach ideologicznych, jakie panują po roku 1789, jest właściwie trywialne, to warto o tym pamiętać.

Konstatacja, że podziały polityczne istnieją i im podlegamy jest uznaniem formy. Tymczasem najciekawsza, jak również najistotniejsza, jest tutaj treść – a więc odpowiedź na proste pytanie „Jakie podziały polityczne faktycznie mają dziś znaczenie?”. Media zarówno liberalne związane z opozycją, jak i te stojące twardo za partią rządzącą generalnie kreują obraz, w którym główna linia podziału przebiega wzdłuż takich osi jak: „lewica (ewentualnie „lewacy”) – prawica”, „rząd (który chce dobrze dla Polski) – totalna opozycja (na pasku Brukseli)”, „postkomuniści – postsolidarnościowcy”. Oczywiście w pewnym stopniu podziały te są mniej lub bardziej prawdziwe, jednak nie wyczerpują głównych linii faktycznego różnicowania się w kwestiach politycznych. Stawiam tezę, że prawdziwe znaczące podziały uwarunkowane są przez w dużej mierze inne kryteria i kwestie. Ustalenie ich i zrozumienie może być tylko wartością dodaną przy analizowaniu sceny politycznej i wydarzeń w Polsce, jak i zagranicą. Media powiązane prawie bez wyjątku z tą czy inną partią chcą byćmy trwali wiernie przy swoich partyjnych wybrańcach, wierząc w każde ich słowo. Prawda tymczasem jest dużo ciekawsza.

Globalnie czy lokalnie?

Stwierdzenie, że żyjemy w dobie globalizmu jest trywialne, jednak integralnie wiąże się z pierwszą linią podziału: globalizm i lokalizm. Globalizm rozumiemy tu jako zbiór przekonań w temacie zjawiska globalizacji, która w myśl globalizmu oceniana jest pozytywnie, jako czynnik konstruktywnego rozwoju, także jako czynnik deterministyczny, który warunkuje kierunek *postępu*. Oznacza to afirmatywny stosunek do spadku znaczenia swojego Narodu, państwa i wszelkich tradycji oraz różnic regionalnych. Wiąże się to oczywiście z kosmopolityzmem, niejednokrotnie uznaniem się za „obywatela całego świata”, jak i związane jest z pozytywną oceną roli międzynarodowego kapitału, organizacji międzynarodowych i wszelkich sił ponad- i przeciwnarodowych. Osoba o poglądach globalistycznych, świadomych lub podświadomych, uznaje że procesów globalizacji i tak nie da się już cofnąć, zresztą mają one dobry wpływ na ludzi i ich życie.

Lokalizm to przeciwieństwo globalizmu. Twardo postawa ta obstaje przy obronie narodowych i regionalnych zwyczajów, tradycji i kultury. Wychodząc z założenia, że tożsamość i świadomość człowieka winny być kształtowane przez tradycyjne, naturalne i normalne determinanty, a nie wielkie międzynarodowe organizacje czy organizacje nastawione wyłącznie na realizację swoich brudnych celów, lokalizm skupia się na kultywowaniu kulturowych, politycznych czy prawnych tradycji związanych z danym regionem i zamieszkującą go grupą etniczno-kulturową.

Głównym punktem i kwestią, które dzielą te dwa podejście jest pytanie czy faktycznie „ludzkość” jest wartością, na której budować można politykę i podporządkowywać wszystko inne, oraz jaka jest wartość tradycji.

Czy faktycznie jako Polacy, Słowianie i Europejczycy jesteśmy w stanie tworzyć praktyczną i faktyczną strukturę współpracy np. z Dalekim Wschodem? Nie mówię tu o handlu zagranicznym itp., ale o uznaniu, że owa poniekąd mityczna „ludzkość” to główny punkt odniesienia. Skoro wszelkie twory ponadnarodowe w końcu upadły lub upadają (ZSRS, Jugosławia, Czechosłowacja, Austro-Węgry) to jakim cudem przetrwać ma projekt tak samo ponadnarodowy, ale jeszcze większy i łączący nie kilka czy kilkanaście grup narodowych, ale kilkaset? Czy Polacy i np. Indianie lub Koreańczycy mogą faktycznie wypracować wspólna administrację, politykę energetyczną, zagraniczną? Globaliści pomijają wszelkie różnice kulturowe, etniczne czy religijne, uznając, że jedynym co może nas połączyć i jednocześnie definiować jest wspólny rynek. Człowiek jako konsument – i tylko jako konsument, to definicja owej ludzkości w myśli globalistycznej. Z tej perspektywy faktycznie wszelkie tradycje i normalne warstwy tożsamości jawią się jako „wsteczność”, które uniemożliwia oddanie całej władzy w ręce osławionej niewidzialnej ręki rynku. Tak rozumieć trzeba globalizację, i dlatego dąży ona do zniszczenia wszelkich przejawów „mowy nienawiści” czy „faszyzmu”.

Podobnie jakiegokolwiek zakładanie, że Europa ma swoje poczynania i politykę uzależniać od efektów działań USA i Izraela w szeregu miejsc na świecie jest doprawdy naiwne. Jako Europejczycy nie mamy żadnych obowiązków wobec innych regionów etniczno-kulturowych, podobnie jak one nie mają ich wobec nas. Jedynym chyba elementem globalnej

współpracy może być walka z kryzysem ekologicznym i klimatycznym, ale to musi być realizowane poprzez współpracę suwerennych rządów narodowych, a nie poprzez odgórnie narzucenie nam określonych ram i obowiązków przez organizacje i środowiska, które w największym stopniu za zniszczenie klimatu odpowiadają.

W polityce polskiej także widzimy odwołania do kosmopolityzmu, zwykle powiązane z zaawansowanym stadium ojkofobii (głównie lewica). Często objawia się to poprzez bezkrytyczne propagowanie „integracji europejskiej”, bez jakiegokolwiek zastanawiania się nad faktycznym celem i powodem zwiększania uprawnień Unii Europejskiej wobec państw członkowskich. Odwoływanie się do pojęcia „ludzkości” jest ładnym frazesem, zwłaszcza na spotkaniach wszelkich organizacji międzynarodowych, ale w praktyce oznacza przedłożenie nad interes własnego Narodu mglistego celu „szczęścia ludzkości”.

Suwerenność nie na sprzedaż

Drugim istotnym dla nas podziałem będzie kwestia suwerenności i interwencjonizmu. Podejście oparte na suwerenności to uznanie, że państwo – będące politycznym przedstawicielstwem i formą zorganizowania Narodu – prowadzić musi politykę suwerenną i niezawisłą. Oznacza to, że to państwo wraz ze swymi instytucjami i agendami jest nie tylko najważniejszym dysponentem władzy na terenie kraju, ale także ostateczną instytucją odwoławczą. Z drugiej strony mamy podejście, które nazwać można „interwencjonistycznym” – czyli takie, która zakłada, że zewnętrzne siły polityczne (państwa, organizacje

międzynarodowe, etc.) mają prawo ingerować w politykę i sytuację danego państwa, oraz narzucać mu określone decyzje i rozwiązania prawno-ustrojowe.

W Polsce konflikt ten toczy się przede wszystkim na płaszczyźnie stosunku do Unii Europejskiej, ale sedno zagadnienia sięga dużo głębiej niż relacja Polski do tejże struktury. Chodzi o dyskusję, w której głównym sensem jest to, czy ostatecznym decydem o prawie i ustroju Polski ma być jej rząd oraz konkretne agendy i instytucje polityczne, czy dopuszczamy nie tylko ingerencję zza granicy, ale jej nadrzędność w stosunku do państwa. Nie chcę tu wchodzić w konflikt PiSu z opozycją, jak wiemy to tylko dwie strony tego samego demoliberalnego medalu. Tym bardziej, że przed wyborami w 2015 roku PiS także podejmował różne działania na arenie międzynarodowej o antypolskim charakterze. W obecnej jednak sytuacji sprawa ta ułożyła się w ten sposób, że PiS próbuje dla swoich kręgów partyjnych przejmować kolejne płaszczyzny działania państwa, a opozycja... starając się przeciwdziałać temu regularnie odwołuje się do ponadpaństwowych i ponadnarodowych instancji. Te zaś od czasu do czasu wydają nic nie znaczące dyrektywy czy zalecenia, które PiS dość konsekwentnie ignoruje i w dalszym ciągu gra spektakl „walki z kastami” (skądinąd rzuca się w oczy głupota opozycji, która daje sobie to narzucić, ale to temat na inny tekst).

Abstrahując od „skuteczności” (na szczęście obecnie żadnej) działań zewnętrznych czynników wobec Polski, to na pierwszy plan wysuwa się pytanie o znaczenie i zakres suwerenności w obecnym świecie. Wbrew twierdzeniom euroentuzjastów (w rozumieniu liberalnym) to wszelki próby narzucania nam takich czy innych decyzji lub rozstrzygnięć są nie „dbałością o praworządność”, bo ta na zachodzie leży i kwiczy (vide

Francja chociażby). To przede wszystkim twarda polityczna walka o polską niezawisłość. Nie chodzi tu już o partyjne łatki czy medialne przepychanki między poszczególnymi środowiskami. To fundamentalna kwestia, która dotyka zresztą ogromnej ilości państw na całym świecie – czy państwo jako twór narodowy i komplementarny ma być suwerenne i niezawisłe, czy też pozwalamy obcym siłom, które w żaden sposób się z naszym państwem nie identyfikują i nie są z nim związane, wydawać decyzje o wiążącym charakterze.

Osobiście nie lubię zwykle krzykliwej, prawicowej propagandy opartej o histerię i pieniactwo, jednak przyznać trzeba rację nazywaniu tych, którzy piszą donosy na Polskę do zagranicznych ciał politycznych „Targowicą”. Problem tu jest nawet głębszy i poważniejszy niż w XVIII wieku, nie chodzi tylko o politykę, ale o sam stosunek do państwa narodowego oraz globalizmu (wcześniej podpunkt).

Nauka i szuria

Tematem na oddzielny artykuł jest to, czemu w dobie tak łatwego dostępu do informacji w przestrzeni publicznej funkcjonuje coraz więcej tzw. „teorii spiskowych”. Nie chodzi tu oczywiście o przypinanie tej łatki swoim oponentom ideologicznym, ale o funkcjonowanie poglądów i koncepcji stojących w rażącej sprzeczności z nauką i logiką. Widzimy to i na lewicy i na prawicy, a mimo wyśmiewania to zwolenników wszelkiej maści szurowskich pomysłów i koncepcji nie ubywa. Co więcej, dotyka to nie tylko materii jak „Wielka Lechia”, która w sumie w głównym nurcie się nie przejawia. To przede wszystkim pseudonaukowe i obiegowe mity,

które mocno już wżarły się w ludzkie wyobrażenia o świecie. W ten sposób docieramy do kolejnego podziału w polskiej (i nie tylko) polityce: na naukowość i pseudonaukowość.

Temat ten nie pokrywa się z tradycyjnymi podziałami politycznymi (oś lewica-prawica) – występuje bowiem wśród przedstawicieli każdego środowiska, oczywiście z różnym natężeniem. Z jednej strony mamy prawicę z klimatycznym denializmem (choć ostatnio chyba powoli się wypalającym), powtarzaniem setek neoliberalnych kłamstw w temacie ekonomii i socjologii czy historii. W wersji bardziej „hard” objawia się to walką z technologią 5G i szczepionkami, doszukiwaniem się spisku lewactwa w wegańskiej diecie i negowaniem wszelkich ustaleń niepasujących do kapitalistycznych mitów.

Po lewej stronie nie jest lepiej, a nawet jak sądzę dużo gorzej. „Białe przywileje”, „wykluczenie”, wszędobylskie rasizmy i faszyzmy, promowanie ideologii lgbt, walka z „terrorem” normalnej rodziny. Uff, sporo, a każdy kto minimalnie interesuje się życiem publicznym, wie że to wierzchołek góry lodowej. Obrona praw pedofilii, nachalne używanie żeńskich form językowych stojące w sprzeczności z wszelkim językoznawstwem, szowinizm skierowany przeciw mężczyznom – wymieniać możemy długo. Do tego obie strony robią niesamowitą prostytutkę z historii. Prawica wszędzie doszukuje się spisku komunistów, obcych i wrogich sił, lewica zaś wierna swemu rodowodowi twierdzi, że Wyklęci jedli żywcem dzieci, Polacy wbrew oporowi Niemiec przeprowadzili holocaust, ale na szczęście uratowała nas Armia Czerwona. Oczywiście do tego Bolek był bohaterem, a w Jedwabnem Polacy zamordowali 1600 Żydów spośród 350 tam mieszkających. W tym samym czasie prawica świętuje zwycięskie Powstanie Warszawskie,

twierdzi, że szlachta i gospodarka folwarczna to wzór, do którego należy nawiązywać, a nad wszystkim łopoczą husarskie skrzydła.

Powodów tego stanu rzeczy jest wiele, od kiepskiej edukacji, przez socjotechnikę po celową dezinformację. Pytanie na ile możemy liczyć na sensowność i uczciwość polityków jeśli ci albo nieświadomie powtarzają nienaukowe bzdury (wówczas to głupcy), albo co gorsza robią to z pełną świadomością podejmowanych działań (wówczas to zwykłe świnię). Zapewne nie mała tu rola mitu w znaczeniu sorelowskim, co znaczy, że tym bardziej trzeba sprzeciwiać się temu, co w imię swej chorej idei gotowe jest zniszczyć wszystko co zdrowe i naturalne.

Kapitalizm a sprawiedliwość

Polska wydaje się być jednym z najbardziej zainfekowanych neoliberalnym wirusem krajem w Europie. Wszyscy prawie, bez względu na polityczne wybory, wierzą w to, że podatki trzeba obniżyć, pracodawcom iść zawsze na rękę, państwowe jest złe, rozdawnictwo i „socjal” uczyć lenistwa a majątek państwowy trzeba jak najszybciej sprywatyzować. Nie ma większego znaczenia czy zapytać o te kwestie Kidawę-Błońską, Biedronia, Korwina czy Gowina: odpowiedzi będą identyczne. Pewnym wyłomem w tym myśleniu są reformy PiS-u, choć i w jej szeregach jest nie mała frakcja liberalna. Co więcej, poza pewnymi osłonami socjalnymi, polityka obecnie rządzącego obozu aż tak nie odbiega od poprzednich ekip. Jak pokazuje zresztą historia III RP, neoliberalne postulaty realizowały praktycznie wszystkie rządy: SLD, PiS, PO, AWS-UW. Jedyne co ich różniło to natężenie i rozłożenie akcentów,

jednak ogólna „myśl” ekonomiczno-społeczna przyświecająca polskiej polityce to Mises i Balcerowicz. I jak sądzę tu przebiega kolejna linia podziału: na zwolenników kapitalizmu, indywidualizmu i neoliberalizmu, oraz na wszystkich tych, którzy kontestują ten podział. Podział ten jest ogromnie nierównomierny – ze względów jakie wymieniłem, tj. poparcia dla kapitalizmu praktycznie całej sceny politycznej. Właściwie tylko w dwóch partiach pojawiają się głosy sprzeciwiające się narracji wolnorynkowej: w PiSie oraz Razem. Co ciekawe pod tym względem rzekomo antysystemowa Konfederacja jest całkowicie systemowa i nie różni się absolutnie niczym w swej narracji od wczesnej Platformy (co zresztą jest prawdą, to partia zachowania *status quo* a nie jakiegokolwiek zmiany).

Myślenie oparte o krytykę kapitalizmu, wolnorynkowych stosunków społecznych i ekonomicznych to niestety nad Wisłą cały czas swoista „herezja”. Przecież każdy wie, że teoria skapywania, austriacka szkoła itp. to fundamenty skutecznej ekonomii. I generalnie jest to prawda – o ile za „skuteczną” rozumiemy taką, która daje dochód bardzo wąskiej grupce osób kosztem wyzysku milionowych mas pracujących.

Temat kapitalizmu był już tak wiele razy podejmowany na naszych łamach, że pozwolę sobie nie powielać tych treści i uznać, że po prostu większość naszych Czytelników i Czytelniczek wie, czemu koncepcja ta jest z gruntu antynarodowa i antyspołeczna. Jeśli w polityce szukać chcemy faktycznych alternatyw, to linia podziału między zwolennikami a przeciwnikami neoliberalnego systemu będzie jedną z najistotniejszych. Oczywiście, postkolonialna mentalność polskiego Narodu powoduje, że zwolenników kapitalistycznego dyktatu jest dużo więcej niż

przeciwników, jednak w gruncie rzeczy tylko to zwiększa znaczenie tegoż podziału.

Słuchajcie uważnie polityków. I gdy któryś znów powie, że aby zostać milionerem wystarczy dużo pracować, a jeśli nie macie perspektyw to kupcie sobie samochód lub weźcie kredyt i wyemigrujcie – wiecie co z nimi robić.

Wspólnota

Podział z poprzedniego podpunktu w dużej mierze wiąże się z podziałem na tych, którzy orientują się w polityce indywidualistycznie oraz wspólnotowo. Wiąże się to nie tylko z patriotyzmem i stosunkiem do państwa czy Narodu. Wspólnota to także ludzie, z którymi pracujemy, uczymy się, żyjemy w najbliższym sąsiedztwie. Podział tu wyznaczony jest przez uznanie człowieka jako personalnej jednostki albo za całkowicie autonomiczny element, nie posiadający żadnych obowiązków wobec swych grup społecznych, albo też za integralną i nieodłączną część określonej liczby różnych wspólnot i grup społecznych. Pierwsze myślenie to oczywiście w prostej linii skutek liberalizmu, bez względu czy wyznawanego świadomie, czy przyjętego podświadomie. Nakazuje on traktować człowieka wyłącznie z kontekście jego interesów i relacji ekonomicznych z innymi jednostkami. Najważniejsza jest tu „wolność” danej osoby, a wszystko co ją ogranicza – w tym chociażby obowiązki wynikające z faktu przynależności do jakiegokolwiek grupy – uznane jest za czynnik wysoce negatywny, który z czasem trzeba wykluczyć. Oczywiście pojawia się tu kwestia egoizmu i potęgowania czynnika materialnego w

życiu takiej „wyzwolonej jednostki”. Gdy usuniemy całość wspólnotowości, a także duchowość (co zwykle także jest postulatem liberalizmu) wówczas w życiu jednostki faktycznie pozostaje tylko walczyć o zwiększanie swojego statutu materialnego, a całość relacji z otoczeniem staje się wypadkową określonych interesów i egoistycznych celów.

Podejście takie jest dość powszechne, tak na lewicy jak i prawicy. Wyjątkiem nie jest tu ani lewica spod znaku Roberta Biedronia, ani Konfederacja. Drugą stroną barykady jest holistyczne, wielopłaszczyznowe spojrzenie na życie człowieka i uznanie prostego faktu, że każdy z nas funkcjonuje w szeregu grup i wspólnot, włącznie z tą najważniejszą: z Narodem. Warunkuje to nie tylko posiadanie określonych praw i obowiązków z tego wynikających, ale także sposób myślenia i gradacji wartości. Uznanie dla kapitalistycznego wyzysku czy nieuczciwego traktowania swoich rodaków nie mogą zaistnieć, jeśli faktycznie wspólnotowość ma odzwierciedlenie w życiu człowieka.

Dzisiejszy świat wprost przeżarty jest indywidualistycznym ujęciem „wolności”. Każdy chce być wolny, swobodny, niezagrożony przez „opresję” i „nietolerancję”. Oczywiście ma to przełożenie w polityce, gdzie z jednej strony politycy środowisk wolnorynkowych walczą o prawo do poniżania i wyzyskiwania pracowników, a przedstawiciele środowisk liberalnych dążą do demontażu rodziny i najbardziej podstawowych funkcji państwa.

Duch i materia

Kolejnym podziałem, który warunkuje nasze życie polityczne to podział związany z religijnością i duchowością. Stanowi to oczywiście pokłosie zmian, które zaszły po Wielkiej Rewolucji Francuskiej: zrzućenie prymatu religii i powolny marsz oświeceniowego racjonalizmu i laicyzacji państwa. W dzisiejszych realiach oznacza to wyraźny podział na tych, którzy w mniejszym lub większym stopniu nawiązują w swych poglądach do wyższej prawdy: religii czy duchowości, oraz na zwolenników praktycznego materializmu, praw człowieka, polityki racjonalnej i oddzielającej życie religijne od spraw państwowych.

Oczywiście, w polskich warunkach nawiązywanie do religii katolickiej zazwyczaj ma wymiar czysto praktyczny i konformistyczny. Związany jest z określoną kreacją swego wizerunku i próbą pozyskania głosów danego elektoratu. Nie zmienia to faktu, że pomimo coraz szybszego postępu ateizmu i „naukowości”, cały czas widoczny jest podział na tych, którzy w sferze duchowej dostrzegają najważniejsze źródła praw i zasad rządzących naszym światem, oraz na tych, którzy doszukują się tego czy to w nauce, czy – nawet częściej – w fanatycznym negowaniu wszelkiej tradycji i religijności.

Proces ten na Zachodzie trwał już od okresu powojennego (we Francji nawet sporo wcześniej), a obecna pustka mentalna, etyczna i duchowa europejskich społeczeństw to w prostej linii skutek odrzucenia duchowych podstaw Europy. Nie znaczy to, że należy negować naukę i postęp technologiczny, jednak niezaprzeczalną prawdą jest to, że każda cywilizacja opiera się na religii. Europa ze swym dorobkiem nie stanowi tu żadnego wyjątku.

Nie chcemy też popadać w przesadę i zamieniać polityki w bractwo różańcowe, jednak jak mówi stara maksyma: „lepiej wierzyć niż nie wierzyć”. Wszelka moralność i etyka *suma summarum* opiera się na jakimś systemie religijnym. Nie jest też przypadkiem, że nasi najgorsi wrogowie jednoznacznie wiążą się z państwem *laickim* i *racjonalnym*. Co ciekawe racjonalność lewicy i liberałów dziwnym trafem wiążą się z uznaniem praw osób lgbt do adopcji dzieci czy legalizacją aborcji oraz eutanazji.

Tradycja

Ten podpunkt, podobnie jak każdy poprzedni, mógłby być oddzielnym tekstem. Ostatni interesujący nas podział to tradycja oraz postmodernizm. Same te terminy są bardzo rozległe i mają wiele znaczeń, dla nas jednak ma znaczenie przede wszystkim praktyczne, polityczne do nich podejście, jakie możemy wyróżnić wśród poszczególnych opcji politycznych. W praktyce widzimy tu z jednej strony uznanie tradycyjnych wartości za oczywisty budulec naszej tożsamości, cywilizacji i jestestwa, a z drugiej typowo lewicową dekonstrukcję i relatywizm. Pierwsze spojrzenie to często po prostu uznanie określonych elementów, takich jak rodzina czy małżeństwo lub role płciowe, za coś po prostu oczywistego i naturalnego. Podejście postmodernistyczne odrzuca zaś wszelkie tradycyjne budulce naszego świata, uznając je nie tylko za „konstrukty”, ale także wedle „nauk” Szkoły Frankfurckiej za narzędzia „opresji” i „przemocy”. Aby więc ostatecznie wyzwolić człowieka z dyktatu płci, narodu, rasy, etniczności etc. odrzucić trzeba wszystko to, co nas „niewoli”.

Tak ujęty postmodernizm widzimy każdego dnia. Już nie tylko Zachód, ale i Polska coraz bardziej toczona jest przez ten złośliwy nowotwór, który wszystko co nie tylko piękne, ale i zwyczajnie naturalne, każe uznać za narzędzie „niesprawiedliwości”. Rodzina, szkoła, praca – każda płaszczyzna naszego życia jest obecnie zainfekowana wirusem postmoderny, która w polityce nie tylko ma już swoich silnych zwolenników, ale także stoi wobec całkowitej bezradności i nieskuteczności prawicy. Także i w tym aspekcie idziemy drogą zachodniej Europy.

Rozkład naszego świata i jego dekonstruowanie sprowadzić ma człowieka, wyzbytego z wszelkiej tożsamości, do miana *konsumenta*. Jak widać ostateczny cel lewicy neomarksistowskiej jest tu całkowicie zbieżny z poglądami i celami liberałów i kapitalistów, dla których celem ostatecznym jest także stworzenie światowego, globalistycznego społeczeństwa niczym się od siebie nie różniących klientów.

Zakończenie

W dobie zaczadzenia wyborców i funkcjonowania w polityce podziałów „prawica-lewica”, wyjątkowo głupiego „kapitalizm-socjalizm” oraz jeszcze głupszego „wolność i demokracja – autorytaryzm i niszczenie sądownictwa” warto rozpocząć dyskusje jakie faktycznie linie podziału przebiegają w ramach środowisk politycznych i publicznych. Dopiero uznanie tego faktycznego stanu pozwala głębiej i bardziej analitycznie ocenić zachodzące procesy, konkretnych polityków i środowiska.

Mam pełną świadomość, że temat powyższy jedynie zarysowałem i w gruncie rzeczy wymaga on szerzej i większej objętościowo analizy. Rozumiem też, że zaproponowane przeze mnie podziały po części się pokrywają i są ze sobą organicznie powiązane, tworząc określone struktury. Otwarty przeto jestem na wszelką merytoryczną dyskusję i rozwinięcie tegoż tematu, który pozwoli – jak żywię nadzieję – choć trochę do przodu pchnąć nacjonalistyczną refleksję polityczną.

Same linie podziału jak można łatwo stwierdzić nie pokrywają się z tymi podziałami, jakie zazwyczaj przyjmuje się w polityce. Być może przyjęcie zupełnie innej perspektywy i inne wartościowanie oraz ocenianie polityków i ich partii będzie czynnikiem zwiększającym zrozumienie polityki i jej wpływu na nasze życie, jak również umożliwi bardziej perspektywiczne przewidywanie rozwoju obecnej sytuacji w Polsce jak i Europie.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Śmiech to zdrowie, czyli czego nienawidzą nasi wrogowie

Czyżbym żył już w nieciekawych czasach? Tak 9 lat temu na swojej płycie „Zamach na przeciętność” pytał warszawski raper Ten Typ Mes.

Wprawdzie komentował rzeczywistość z innej perspektywy niż my, jednak zasadność samego pytania jest jak najbardziej aktualna. Dopiero co przecież były lata 90-te, my chodziliśmy do pierwszych klas swoich szkół, uczyliśmy się życia w trudnych realiach Polski okresu transformacji a wokół trwała „wojna na osiedlach”: punków ze skinami, hiphopowców z metalowcami i podwórka z podwórkiem. Nade wszystko zaś walka polskich rodzin o przetrwanie w czasach, gdy bezrobocie w skali kraju szlusowało do 20%, a w niektórych regionach kraju (zwłaszcza post-PGRowskich) rzeczywistość przypominała postapokalipsę. Ile z tego rozumieliśmy my, dzieciaki urodzone na przełomie lat 80-tych i 90-tych? Choć wydawało nam się, że dużo, to oczywiście prawie nic. Dopiero perspektywa następnych dekad i dorosły wiek dały nam zrozumienie przez co przeszliśmy. A dzieciństwo jak to dzieciństwo – zawsze się je widzi w kolorowych barwach na zasadzie popularnego „kurła, kiedyś to było!”.

A może faktycznie wtedy pod pewnymi względami było lepiej?

Wyświechtany już do bólu frazes o tym, że choć nie było smartfonów, Internetu a komputery mieli nieliczni, to każdy z każdym się znał i zawsze wiedział gdzie znaleźć swoich przyjaciół, jest paradoksalnie prawdziwy.

Nie mieliśmy centrów handlowych, modnych sklepów i knajp, firmowych ciuchów i gadżetów, ale za to mieliśmy przyjaciół, wiedzieliśmy „co jest

pięć”, a plastikowy świat dzisiejszych reklam jeszcze nie zdołał zniszczyć normalnych emocji i uczuć młodych gniewnych.

No i mieliśmy swoje małe radości. Dla osób młodszych o dekadę zabrzmiało to jak archaizm, ale kiedyś kilka stacji telewizyjnych musiało wystarczyć w miejsce tysięcy i milionów filmów, seriali i klipów z youtube’a, spotify’a, facebooka czy netflixa. Co więcej, choć wybór oferty kulturalnej był taki jaki był – trochę tego co udało się podkupić na zachodzie, trochę własnych, często tragicznie nieporadnych prób naśladowania światłego zachodu, to ówczesne produkcje jawią się nam jako kultowe. My naprawdę śledziliśmy losy Drużyny A, pasjonowaliśmy się kolejnymi wynalazkami MacGyvera i traciliśmy z wrażenia dech na drugim Terminatorze, widząc wówczas najlepsze na świecie efekty specjalne (co ciekawe zostały opracowane na Amigach, pamięta ktoś w ogóle markę tych komputerów?). Obcy naprawdę straszyl, mimo że pokazano go dopiero w połowie „Ósmego pasażera Nostromo”, a „Dzień Niepodległości” pokazywał apokaliptyczną wizję ostatecznego starcia z obcą rasą. A do dziś każdy z nas ma te przysłowiowe ciary na plecach słysząc motyw muzyczny z „Archiwum X”.

Zdaję sobie doskonale, że mając 30 i więcej lat ogląda się dziś wiele ówczesnych tytułów filmowych i serialowych na własną odpowiedzialność. Między innymi dlatego, żeby nie zdruzgotać sobie idyllicznej wizji dzieciństwa. Wiele obrazów tamtego czasu zalatuje dziś myszką, efekty nie robią już takiego wrażenia (choć w Terminatorze 2 robią, przyznajcie to), jakoś to przyćmione jest hurtową wprost ilością super produkcji zza wielkiej wody. Tyle, że tamte filmy i seriale miały to coś. Pokażcie mi drugi tak zręcznie nakręcony serial jak „Archiwum X”, z takim klimatem i ilością smaczków oraz fabularnych motywów.

To se ne vrati. Tak, mam tego świadomość, że dziś już tak się nie kręci, a technika oraz odbiorcy na tyle się zmienili, że chcąc poczuć tamten klimat pozostaje nam jedynie poszukać w sieci archiwalnych materiałów. Mam też niestety świadomość, że część ówczesnych produkcji nie mogłaby dziś powstać z przyczyn zgoła innych niż skok technologiczny czy inne gusta widzów i słuchaczy.

Śmiech to zdrowie. Dlatego też uwielbialiśmy seriale komediowe. Nie durnych youtuberów mamroczących swoje kretyńskie „żarty” do kiepskiej jakości mikrofonów. Nie „kabareciarzy”, których szczytem jest 100-tny występ, na którym przebijają się za kobietę i wyją z własnych „dowcipów”. My zapamiętaliśmy prawdziwe komedie i seriale komediowe, które kręcone były przez ludzi wiedzących jak rozśmieszyć. Nie nerwowe uśmiechy i z trudem skrywane zażenowanie, ale prawdziwe niekontrolowane wybuchy śmiechu towarzyszyły nam, gdy oglądaliśmy amerykański „Świat według Bundych” czy polski „13 posterunek”. Dziś seriale te, w epoce Dr House’a i Netfixa mogą trochę śmieszyć czy budżetem, czy realizacją lub przestarzałą już formułą. Zasadnicza jednak ich wartość jako produkcji komediowych nie zetliła się ani trochę – dalej śmieją. I paradoksalnie to przesądza o tym, że nowych seriali tego pokroju już się nie doczekamy.

Wiecie czego tak naprawdę boją się jak ognia nasi wrogowie – liberałowie, nowa lewica? Uczuć i emocji – tych prawdziwych, nie plastikowych, wymuszonych przez konwenanse i politpoprawność. Boją się momentu, kiedy normalni ludzie reagują w sposób... po prostu normalny. I śmieją się, płaczą, wzruszają, denerwują, irytują. To normalne ludzkie emocje, żaden wstyd je mieć i czasem nawet pozwolić

im wylać się na zewnątrz. To czego bronimy zaś to też przede wszystkim normalność – zwykła, normalna rodzina. Normalne rozumienie wspólnoty, państwa, praw i obowiązków. Zwyczajne rozumienie tego co czyste i wzniosłe, jak i tego co zdegenerowane i niegodne. Rozumiecie już? Obie te sfery – normalne emocje i normalne poglądy się łączą. I dlatego oni tak strasznie ich nienawidzą. Nie chcą wyrw w swoich odrażających wizjach. Mają bowiem świadomość, że ich postępek i tolerancja stoją w absolutnej sprzeczności nie tylko z tym, czego bronimy, ale z czym identyfikuje się spora część społeczeństwa (zwłaszcza na wschodzie Europy). Sami to przyznają, tylko zamiast normalności widzą „opresję, przemoc, nietolerancję, wykluczenie”. Dlatego tak ich boli, gdy się śmiejemy. Oni tego nie potrafią. Lewica, liberałowie żyją w swoich sztucznych, zdehumanizowanych i hermetycznych światkach, gdzie wszystko i wszyscy są ładnie posortowani. Ci są prześladowani, a ci mają „biały przywilej”. Ci to oprawcy, ci ofiary, inni jeszcze szowiniści lub „ciemny lud”. To duszny i pozbawiony światła teren – dlatego nie ma w nim miejsca na śmiech.

Oglądaliście te seriale? Nawet jeśli jesteście młodszy niż ci, którzy oglądali je w telewizji w latach 90-tych, to jest spora szansa, że znacie to z Internetu. A skoro tak, pewnie już domyślacie się skąd moje stwierdzenie, że takie produkcje już nie mają szans powstać. „Świat według Bundych” zasłynął jako serial, który nie bierze jeńców. Garściami można z niego czerpać żarty i dowcipy z feministek, homoseksualistów, kobiet, polityków, czarnych, muzułmanów. Mało? Obrywa się tam popkulturze, nowoczesnemu światu, w którym Amerykanin nie umie naprawić zepsutego telewizora a samochody sprowadzane są z Japonii. Do tego w gruncie rzeczy bardzo wnikliwa krytyka wiele kwestii związanych z materializmem i konsumpcjonizmem podana oczywiście pod postacią

przerysowanych, chamskich i nieraz wulgarnych scen. Czy kogoś to gorszyło jednak? Co najwyżej naszych rodziców albo nauczycieli, którzy pełni troski o dzieci jak i nieraz trochę bigoterii przerażali się dialogami i okazjonalnymi scenami przemocy w tymże serialu. Nie wspominając już o regularnych nawiązaniach do seksu, przy których wszyscy oglądający milczeli, co najwyżej zdradzając się wypiekami na policzkach.

Podobnie parę lat starszy „13 posterunek” jest prawdziwym ucieleśnieniem koszmarów każdego komuszka, postępowca i dewianta. Znowu żarty z kobiet, czarnoskórych, żółtych, Niemców, homoseksualistów. Ale żeby nie było za łatwo także z Kościoła, religii, dzieci. A na dokładkę od czasu do czasu przemycane wstawki o politykach, choć tu głównie wyśmiewano rządzącą w trakcie kręcenia lewicę – Oleksego, Kwaśniewskiego i innych pogrobowców PRL-u. O ile Bundy byli zazwyczaj chamscy i dosadni, to „13 Posterunek” był wręcz absurdalny i do bólu przerysowany. Ale to nie było jego wada – wręcz przeciwnie! Z jednej strony stereotypowe wyobrażenia pewnych kwestii społecznych, realiów lat 90-tych etc. i wyraźnie zarysowane role, z drugiej autentycznie zaskakujące teoretycznym bezsenssem zwroty akcji. Za całość zaś odpowiadał Maciek Ślesicki, prawdziwy tytan pracy. I dzięki niemu kolejne odcinki zazębiały się w prawdziwie nierealny ale i niezwykle śmieszący obraz. I o to chodziło, przecież to serial komediowy!

Oba seriale z dzisiejszego punktu widzenia prezentują poziom i płaszczyznę humoru, na jaką nie zdecyduje się obecnie żaden producent i żadna stacja. Myślicie, że żarty Ala Budnego z feminizmu Mercy dziś nie wywołałyby skandalu i to większego niż na pierwszej płycie Molesty? A szowinistyczne rozmowy z Jeffersonem? A co powiecie o seksistowskich zachowaniach Czarka i Luksusa? Albo zgryźliwych i wysoce

niepoprawnych komentarzach komendanta 13 posterunku (w tej roli. śp. Marek Perepeczko). Ilość wypowiedzi zawodowych autorytetów z wyborczej, oburzonych specjalistów zwiastujących powrót III Rzeszy, „spontanicznych” demonstracji przeciwko rasizmowi i dowcipom szybko wybiłaby z głowy twórcom tych seriali tworzenie swoich dzieł pełnych „mowy nienawiści”.

Jak to jest, że nasz świat tak szybko się spsił? Oglądanie dziś tych seriali urasta do rangi czynu antysystemowego. W końcu patriarchyzm, rasowe i płciowe stereotypy oraz biały przywilej. Mam nadzieję, że długo jeszcze nasi wrogowie nie dobiorą się do tych produkcji. Może o nich nawet nie wiedzą, oglądając tylko słusznie zaangażowane filmy o antyfaszyzmie w 70 lat po zakończeniu wojny lub o czarnych gejach walczących o prawach osób lgbt i po drodze umierających na AIDS (jak to mawiają – ship happens). Skoro cenzurowane są klasyczne bajki dla dzieci w Szwecji i Wielkiej Brytanii, to nie liczcie, że aktyw partyjny odpuściłby tak obrazoburczym dziełom jak nasze seriale.

Jak można się śmiać z dowcipów o podłożu szowinistycznym albo rasowym?! A może tak pośmiejemy się z mężczyzn, białych, katolików? Otóż...proszę bardzo! Śmiech to zdrowie, a do tego poczucie humoru to jeden z wyznaczników nie tylko poziomu inteligencji, ale i po prostu określonego dystansu do siebie i otaczającego świata. Tak, w codziennym trudzie życia warto się śmiać, robić sobie żarty i mieć stosunek cokolwiek swobodny do szeregu jakże ważnych zagadnień. Mówiąc trywialnie na końcu i tak umrzemy wszyscy, i niektóre sprawy nie zasługują by podchodzić do nich poważnie. Skoro więc ktoś ma ochotę odwrócić to co pokazywały te dwa seriale – proszę bardzo. Byleby to śmieszne było, bo niestety aż za często mieliśmy okazje posmakować zaangażowanej sztuki

od libków i komuszków. Po wszelkich „Pokłosiach” do dziś pozostał niesmak i poczucie straconego czasu.

Jak sądzę jest jeszcze jeden powód, dla których seriale komediowe nie powstałyby dziś w tej formie. To wyśmiewanie wszelkich wypadków postępującego zdehumanizowania i zepsucia naszego świata – upadek tradycyjnych ról płciowych, ofensywa liberalnego feminizmu i ideologii lgbt, krytyka absurdów polityki. Już przykład Kabaretu Tey pokazał, że humor może być narzędziem politycznym. Dziś, nawet jeśli nie taka intencja przyświeca twórcom, bardzo łatwo mogą to wykorzystać zwykli ludzie w sieci.

A pomyślcie chwilę... Z czego dziś żartowałyby Al Bundy? Z jakich pozycji atakowałyby go Mercy? Jak wyglądałyby dzieci Ala i Peggy? Albo spójrzmy na „13 posterunek” – Czarek łapiący faszystów za mowę nienawiści? A może Zofia i Arnie ochraniający marsz równości... To ostatnie akurat pojawiło się w serialu (W odcinku „Samice”: 33 epizod 1 serii. Tu także pojawił się motyw transwestyty udającej kobietę). Podobnie jak Czarek posądzany o bycie gejem (odcinek „Gej”) i jeszcze parę innych smaczków. A przecież porównując lata 90-te do dnia dzisiejszego to tamten okres jawi się jako prawie, że normalny. Poziom absurdu i nonsensu, jakich postępująca ofensywa liberalizmu i nowej lewicy dostarczyłaby takim produkcjom jest jednym z głównych powodów, przez który seriale takie odeszły do lamusa. Nie po to dekonstruuje się rodzinę, Naród, kulturę, rasę żeby ktoś wyśmiewał i żartował sobie z tego.

Pamiętacie „Z archiwum X”? Wiecznie sceptyczną Scully i praktycznie zawsze udowadniającego swoje racje Muldera? A to przecież obraz

patriarchalnego ucisku słabszej agentki przez kolegę w pracy. W kolejnych seriach zresztą zabarwiło się to o „molestowanie seksualne” (co z tego, że za obopólną zgodą? I że to nie było żadne molestowanie, tylko zwykły romans?). Agentka Scully jako kobieta co i raz się myli, czyli że kobiety są głupsze, tak? A dlaczego obcy w serialu nie mają żeńskich form? I dlaczego szef Muldera i Scully to biały heteroseksualny mężczyzna, podobnie jak tajemniczy „Palacz”? Dlaczego jest tak mało ról żeńskich i prawie nie ma osób innej rasy niż biała? Do tego odcinek o Golemie, postaci z żydowskich wierzeń pachnie na odległość antysemityzmem, podobnie jak ten o duchach Afryki czy Voodoo i obozie uciekinierów z Haiti załatuje rasizmem.

Co, wystarczy tego festiwalu odmóżdżenia? Ci, którzy oglądali w latach 90-tych tenże serial na pewno przez chwilę nawet nie pomyśleli o nim w ten sposób jak wyżej zaprezentowałem. Swoją drogą przyznam, że takie „krytykowanie” jest bardzo łatwe, bo po prostu pozwala na uderzenie w absolutnie każdy twór kultury, bez jakiegokolwiek refleksji. Ot mechanicznie klepie się głupoty od linijki – tu biały przywilej, tu patriarchalizm, a tu rasizm.

„Z archiwum X” oglądaliśmy nie dlatego, że Mulder traktował Scully patriarchalnie, a do tego oboje byli na tyle bezczelni, że urodzili się biali. Oglądaliśmy ten serial (a ja bez bicia przyznaję się, że regularnie do serialu tegoż wracam) ponieważ to kawał świetnego kina z pogranicza horroru, sci-fi i thrillera (okazjonalnie także komedii). Nikogo nie interesowały fantazje i histerie grubych oraz brzydkich feministek i lewicowych aktywistek z wąsami. Po prostu odczuwaliśmy ogromną przyjemność z poznawania kolejnych przygód dość jednak ekscentrycznych bohaterów – poszukiwania duchów, kosmitów,

artefaktów, potworów, a ostatecznie własnej przeszłości i tożsamości (z czasem serial fabularnie zaczął coraz bardziej skupiać się nie na kolejnych paranormalnych zagadkach, ale na samych bohaterach i ich uwikłaniu w intrygę – moim zdaniem zabieg to logiczny, choć lekko wyszedł na złe serialowi). Poznawaliśmy kolejne niesamowite historie (niczym „Opowieści z Krypty” – pamięta ktoś?...), podziwialiśmy bohaterów i ich umiejętności, dziś trącające myszką efekty specjalne uważaliśmy za hiperrealistyczne a wszelkie komediowe wstawki i zmiany konwencji (chociażby odcinek, w którym Mulder zabiera Scully w sylwestra do nawiedzonego domu, lub odcinek o obozie campingowym pełnym...wampirów) były prawdziwym majstersztykiem. Bo między Bogami a prawdą – były.

Czy aż tak cię to boli młody komuszkę i młody liberale, że coś nam się podobało? Bez jakichkolwiek politycznych konotacji i nawiązań, bez ideologizacji, po prostu czysta przyjemność z oglądania ulubionego serialu fantastycznego czy komediowego? To zwykłe ludzkie uczucia i emocje, które nie są żadną formą opresji i przemocy, ale częścią każdego normalnego człowieka.

Dziś już tak się nie kręci – i nawet nie to mnie smuci i przeraża. Zawsze mogę sobie wrócić do łatwo dostępnych (póki co przynajmniej) kopii przygód Muldera i Scully, perypetii Czarka czy problemów rodziny Bundych. Smuci mnie i przeraża to, czemu tak się już nie kręci. Świat, do którego dążą nasi wrogowie to koszmarne wizja rodem z „Equilibrium”, gdzie puści ludzie bez emocji nie odczuwają absolutnie nic. A przede wszystkim nie odczuwają swego człowieczeństwa i tego, jak bardzo są zniewoleni i manipulowani. Czy takiego świata chcemy? Czy chcemy żyć

w takim globalnym obozie koncentracyjnym, gdzie druty, kapo i komendant obozu są niewidoczni i niedostrzegalni?

A może już żyjemy?

Chcę wierzyć, że jednak nie i póki my, wolni ludzie pamiętamy i wiemy czym jest wolność, póki ją czujemy jak płynie nam w żyłach i rozpala jasnym ogniem serce, póty nic nie jest stracone.

W świecie pełnym kłamstwa i obłudy pamiętajmy, że *gdzieś tam jest prawda.*

Chcę w to wierzyć.

Grzegorz Ćwik

Marcin Bebko - Państwo dobrobytu

W ostatnich miesiącach ubiegłego roku przetoczyła się na fali powyborczych komentarzy i analiz dyskusja dotycząca państwa dobrobytu. Pojawiło się wiele głosów, które poddawały mocnej krytyce samo to pojęcie dowodząc, że wszelkie próby tworzenia państwa dobrobytu to socjalizm, rozdawnictwo i skrajna nieodpowiedzialność. Wiele argumentów dotyczyło konkretnych decyzji podejmowanych przez rząd Zjednoczonej Prawicy, czyli PiS z przystawkami.

Wskazywano, że programy bezpośrednich transferów socjalnych takich jak 500+, środki na wyprawki szkolne czy dodatkowa emerytura stanowią formę korupcji politycznej skierowanej do wyborców. Z drugiej strony krytyka wskazywała, że tak naprawdę tej pomocy ze strony państwa jest za mało. Bo co z tego, że do kieszeni jej beneficjentów trafia żywa gotówka skoro za wszystko trzeba płacić: opieka zdrowotna, opieka przedszkolna, edukacja, nie wspominając o tym że wszystko drożeje w związku z czym płacić trzeba za wszystko to czego nie zapewnia państwo i to coraz więcej. Jednocześnie Pan Prezes Jarosław Kaczyński głosi wszem i wobec budowę polskiej wersji państwa dobrobytu. Wszystko to moim zdaniem przykrywa prawdziwy problem, z którym mamy do czynienia współcześnie, mianowicie dla jakiego tworu alternatywą ma być państwo dobrobytu? Z jakim rodzajem państwa mamy zatem do czynienia obecnie? Skoro Arystoteles w IV wieku przed narodzeniem Chrystusa twierdził, że samą istotą państwa jako organizacji politycznej jest zapewnienie dobrobytu jego mieszkańców a polityka ma być walką o dobro wspólne to w zasadzie każde państwo byłoby z samej swojej istoty państwem dobrobytu.^[4] Powinno ono oczywiście uwzględniać specyfikę

danej społeczności i jej kulturową tożsamość w tworzeniu konkretnych rozwiązań mających zapewnić warunki do jej rozwoju.

Sam termin “państwo dobrobytu” kojarzony jest często w Polsce z lewicą oraz licznymi patologiami, które charakteryzują współczesne społeczeństwa zachodnie będącymi skutkiem działań polityków realizujących lewicową agendę. Warto jednak zaznaczyć że rozmaite cechy państwa opiekuńczego pojawiły się w III Rzeszy (ochrona rolników przed niekorzystnym oddziaływaniem klimatu, zabezpieczenie poziomu życia emerytów, zwiększenie kwoty wolnej od podatku) w myśl zasady „Niemcy będą największe wtedy, kiedy najbiedniejsi ich obywatele będą najwierniejszymi”.^[2] Ciężko współcześnie winić działania prospołeczne za występowanie takich zjawisk jak narkomania, alienacja, wzrost przestępczości wśród młodzieży. Były one raczej efektem szerszych zmian kulturowych (często importowanych z USA) i jak pokazuje sytuacja w państwach które zrezygnowały z budowy państwa dobrobytu (Wielka Brytania w latach 80) czy też nie miały możliwości wdrożenia analogicznych rozwiązań (kraje postkomunistyczne w okresie po 1990 roku) występowały one niezależnie i można się zastanawiać czy bez działań socjalnych w ramach “welfare state” nie byłyby one bardziej intensywne (np. plaga narkomanii w USA czy też rosnąca przestępczość).^[3] Obwinianie więc modelu państwa dobrobytu za istnienie powyższych zjawisk mija się z prawdą. Z ideologicznego punktu widzenia zwolenników takiego modelu państwa znaleźć można było zarówno pośród socjaldemokratów jak i chadeków. Model ten po drugiej wojnie światowej upowszechnił się niemal w całej Europie Zachodniej bez względu na orientację polityczną rządzących.^[4] W Wielkiej Brytanii został on zapoczątkowany faktycznie przez laburzystów, ale po zmianie rządu konserwatyści nie doprowadzili do zmian w polityce społecznej. ^[5]

W skali ogólnoeuropejskiej podstawą systemu stały się system powszechnych ubezpieczeń przed bezrobociem oraz zasiłki rodzinne. Dążono również do uzyskania spójności społecznej a tym samym do zmniejszania różnic społecznych. Ważnym elementem było zachowanie jedności narodowej. Działania o charakterze socjalnym nie miały na celu wprowadzeniu gospodarki centralnie sterowanej ale zakładały funkcjonowanie gospodarki rynkowej, która poddana byłaby jednak określonej kontroli.^[6] W RFN wdrożony został projekt społecznej gospodarki rynkowej który miał w pewnym sensie okiełznać kapitalistyczny wolny rynek i prowadzić do osiągnięcia pełnego zatrudnienia w gospodarce, stabilności cen i sprawiedliwości społecznej rozumianej jako dokonywanie przez państwo korekty pierwotnego podziału dochodów i majątków.^[7] Koncepcja ta realizowana była bez względu na to jaka partia znajdowała się u władzy a jednym z jej istotnych elementów było budownictwo mieszkaniowe (warto zwrócić na to uwagę, że w zniszczonych wojną Niemczech w ciągu niespełna 30 lat^[8] rozwiązany został problem mieszkaniowy, w Polsce pomimo upływu tak dużej ilości czasu problem nadal występuje i to nieważne czy rządzą nami płatni pachołkowie czy elity tzw. wolnej polski). W tym obszarze wrażenie robi nie tylko liczba nowopowstałych mieszkań ale również to jak podwyższył się standard mieszkaniowy przeciętnego Niemca z RFN. W 1961 roku w mieszkaniach jedno- lub dwuizbowych mieszkało ponad 50% rodzin robotniczych, w 1968 w takich warunkach mieszkało zaledwie 15% rodzin robotników, a blisko 60% zamieszkiwało w lokalach co najmniej czteroizbowych (sic!).^[9]

Działania ze strony państwa na rzecz polepszenia bytu swoich obywateli to nie tylko domena państw liberalnej demokracji. Zarówno w

Hiszpanii jak i Portugalii również podejmowano szereg działań związanych z realizacją postulatu państwa dobrobytu w praktyce nie pozostając w tyle za innymi krajami zachodnioeuropejskimi. Ciężko przy tym jest określić generała Franco czy profesora Salazara mianem lewaków. W Hiszpanii realizowano na szeroką skalę programy budownictwa mieszkalnego (będąc w Madrycie czy Barcelonie można napotkać się jeszcze na metalowe tabliczki z emblematem Falangi wiszące na domach wybudowanych w tamtych czasach) czy też rozszerzono znacznie dostęp do opieki zdrowotnej. Wprowadzane również syndykaty w miejsce tradycyjnych związków zawodowych. Odpowiadało to postulatowi współodpowiedzialności pracowników i pracodawców za przedsiębiorstwa. Zwłaszcza po 1958 roku wzrosła ich rola i znaczenie w ramach hiszpańskiego systemu politycznego.^[10]

Jak widać na powyższych przykładach koncepcja państwa dobrobytu nie związana była z żadną konkretną ideologią czy też formą ustrojową. Nie oznaczała też likwidacji gospodarki opartej o prywatną własność. Zakładano istnienie ograniczeń w rozwoju kapitalistycznej gospodarki z myślą o zapobieżeniu jej wynaturzeniom i negatywnemu oddziaływaniu na społeczeństwa. Można śmiało powiedzieć, że wiele z wprowadzonych rozwiązań było zbieżnych z przedwojennymi postulatami RNR zawartymi w *Zasadach programu narodowo-radykalnego*^[11] w którym dużą część poświęcono zagadnieniom społeczno-gospodarczym. W punkcie 15 napisano wprost, że „*Podział dochodu narodowego winien dać chleb każdemu chcącemu pracować Polakowi, dopiero po tym bogacić jednostki*”. Postulowano również konieczność poddania gospodarki ograniczeniom, które zapewnią stabilność gospodarki i stanowić będą źródło dobrobytu dla szerokich warstw społecznych (punkty 17, 21, 23). Jednocześnie głoszono

zachowanie własności prywatnej tam gdzie nie staje się to podstawą do wyzysku innych (punkty 18, 15b). Śmiało można więc powiedzieć, że idea zawarta w *Zasadach* wyprzedzała swoje czasy. Przedwojenne pokolenie zdawało sobie sprawę z tego, że danie pierwszeństwa tzw. prawom gospodarczym i podporządkowanie wszystkiego ekonomii to zamach na jednostkę jako osobę. To również sprowadzenie społeczeństwa do poziomu homo oeconomicus i wyzbycie się wszelkich wartości duchowych które w takich warunkach ustępują miejsca wartościom materialnym. Odrzucając kapitalizm, odrzucano jednocześnie socjalizm i skupiano się na znalezieniu własnej drogi, której częścią składową miała swoista forma “państwa dobrobytu” w którym życie gospodarcze podporządkowane jest potrzebom narodu i celom społecznym. Tym samym prymat polityki nad gospodarką łączył myśl przedwojennych radykałów z projektem “welfare state” który urzeczywistniony został po II wojnie światowej.

Państwo dobrobytu które jak wcześniej wskazywałem upowszechniło się w Europie Zachodniej nie wytrzymało niestety fali zwrotu w kierunku neoliberalizmu jaka przetoczyła się przez świat ekonomii i polityki w latach 70.^[12] Wpływ na to miał oczywiście kryzys paliwowy spowodowany eskalacją konfliktu żydowsko-arabskiego na Bliskim Wschodzie oraz działania podjęte przez rząd USA, które wpłynęły negatywnie na światową gospodarkę. Lobby korporacyjno-finansowe dzięki ogromnym ilościom pieniędzy skierowanych na rzecz promowania rozwiązań liberalnych w ekonomii oraz pozyskaniu przychylności polityków doprowadziło do rehabilitacji wolnorynkowej ortodoksji.

Pozycja polityczna, którą Stany Zjednoczone uzyskały w okresie Zimnej Wojny pomogła tym ideom rozprzestrzenić się w skali globalnej. Tym

samym w latach 70 i 80 nastąpił zwrot w kierunku turbokapitalizmu i tym samym zaatakowana została koncepcja „państwa dobrobytu”. Zwieńczeniem zachodzących zmian było ustanowienie tzw. „konsensusu waszyngtońskiego” czyli zbioru zasad a w zasadzie zaleceń, które miały sprzyjać rozwojowi gospodarki wolnorynkowej, a które w praktyce umacniały hegemonię USA w ramach zglobalizowanej gospodarki.^[13] Zanegowano istnienie społeczeństwa a w zamian za to ogłoszono, że istnieją tylko jednostki, znajdując tym samym ideologiczne uzasadnienie dla chaosu który jest skutkiem liberalizacji gospodarki.^[14] Powrót, a w zasadzie pojawienie się neoliberalizmu w tym czasie wpłynęło również na kształt przemian gospodarczych w Polsce. Oznacza to, że neoliberalizm jest tak naprawdę zjawiskiem nowym a jego implementacja w Polsce wcale nie stanowi wdrażania strategii sukcesu prosto z Europy Zachodniej. Pomijając całkowicie różne doświadczenia i okoliczności w których Polska i inne kraje Europy Środkowej i Wschodniej wchodziły w ostatnią dekadę XX wieku pamiętać należy, że wzrost gospodarczy i rozwiązania “welfare state” szły w zachodniej części kontynentu ręką w rękę przyczyniając się do wzrostu poziomu życia w bezprecedensowy sposób.

Zatem obecna wizja propagowana w tzw. mainstreamie w praktyce odbiega zarówno od tego co zostało nakreślone w „Polityce” Arystotelesa jak i od tego co charakteryzowało “welfare state”. Współczesne państwo, państwo neoliberalne swój główny cel upatruje nie w budowaniu powszechnego dobrobytu i rozwoju społeczeństwa ale w stwarzaniu dogodnych warunków dla działalności ekonomicznej. Tworzenie „korzystnego klimatu dla biznesu” bez względu na konsekwencje wydaje się być dzisiaj przewodnim powodem funkcjonowania państwa.^[15] Brak stabilności, podporządkowanie życia ludzkiego ekonomii, zwiększająca

się ilość obszarów w których najważniejsze stają się prawa rynku, rozpad więzi w społeczeństwie, masowe migracje, negowanie wartości w imię indywidualizmu, degradacja środowiska, wykorzenienie rodzimych kultur - to wszystko charakteryzuje współczesne państwo. W dużej mierze wynika to z niechęci państwa neoliberalnego do wszelkich form solidarności społecznej, zwłaszcza takich, które kwestionować będą działania w zakresie prywatyzacji i wprowadzania zasad elastyczności wszędzie tam gdzie jest to możliwe. Jasne jest, że rodzić to będzie napięcia w obrębie danej społeczności. Łatwiej o to jeśli nie mamy do czynienia jednolitą tkanką społeczną o utrwalonej kulturze i tożsamości narodowej. Wzrost znaczenia podmiotów gospodarczych nie oznacza ograniczenia biurokracji państwowej, która staje się w takiej sytuacji niezbędnym elementem mającym kontrolować efektywność kosztową sektorów publicznych, które nie zostały w całości przekazane w ręce prywatnych korporacji. Mnożą się więc przepisy i regulacje, tnie się koszty i wskaźnikiem efektywności staje się wyłącznie opłacalność danej działalności. Nie ma mowy o celach społecznych i narodowych, których nie da się zmierzyć i policzyć. Chociaż ciężko jest zdefiniować czym tak naprawdę jest cel społeczny to można zgodzić się, że „jedną z podstawowych funkcji każdej organizacji społecznej jest zapewnianie niezbędnej żywności, ubrania, schronienia, edukacji, opieki zdrowotnej, ram prawnych i pomocy w socjalizacji.”^[16]

Państwo neoliberalne przedkłada jednak inne wartości ponad tzw. cele społeczne. Nie waha się również przed użyciem środków przymusu tam gdzie uzna, że interesy kapitału są zagrożone.^[17] Nieodłączną cechą takiego państwa jest również afirmacja wolności, która w praktyce realizowana będzie na poziomie jednostek ludzkich. W sferze gospodarczej kapitalizm dąży naturalnie ku monopolizacji, względnie

oligopolizacji. W przypadku zwykłych ludzi będzie to widoczne w pędzie do wolności, do przekraczania społecznych ograniczeń bez oglądania się na nic i nikogo co narusza społeczną spójność będącą trwałym fundamentem niezbędnym do funkcjonowania każdego narodu. Państwo więc wbrew obiegowym opiniom nie zanika i nie podlega atrofii ale zmieniają się jego funkcje, zmieniają się również wewnętrzne relacje pomiędzy władzą a narodem i tworzącymi go obywatelami.^[18] Takie państwo staje się w pewnym sensie wrogiem dla własnych obywateli.

Władza, która ulega fetyszowi ciągłego wzrostu i tworzenia dla niego niezbędnych warunków bez względu na wszystko inne jest zagrożeniem dla narodu, który ma reprezentować. Podstawowym założeniem systemu gospodarczego i politycznego powinno być danie każdemu Polakowi i każdej Polce warunków umożliwiających godne życie dla nich samych oraz ich rodzin. Tymczasem prowadzone są działania, które polegają na przyciąganiu zagranicznych firm obniżkami podatków. Rozdawane są pieniądze zagranicznym inwestorom, którzy zyski czerpane z działalności w naszym kraju i tak wyprowadzą za granicę. Wymowna była sytuacja z końca ub. roku kiedy ustami obcego polityka społeczność polska w naszym kraju została poinformowana, że rząd rzekomo „polski” wycofał się z prac nad opodatkowaniem gigantów z branży internetowej (Google, Facebook itp.). Wcześniej zaprzestano prac nad uregulowaniem działalności takiej pijawki jak Uber.

Liczba nowo utworzonych miejsc pracy którą szczyci się obecna władza nie mówi nic o jej jakości. Czy Polska ma być narodem wyłącznie pracowników branży usługowej i rozrywkowej? Podkreślmy, że lwia część wytworzonych w Polsce towarów i usług trafia na eksport. Pytanie czy strategia proeksportowa forsowana przez nasze władze jest słuszna? Czy

nie prowadzi to do sytuacji, w której mieszkańcy pracują ciężiej, a jednak w ogólnym rozrachunku nie będą konsumować więcej ponieważ tort, który dzieli się pomiędzy populację kraju, nie powiększył się.^[19]

Dowodem jednak na wspaniałą i dynamiczny rozwój naszego państwa ma być fakt, że brakuje rąk do pracy! Fakt ten w zestawieniu z danymi mówiącymi o mizernym wykorzystaniu w Polsce zaawansowanych technologii oraz niskim poziomie robotyzacji miejsc pracy świadczy raczej o tym, że Polacy to nadal tańsza alternatywa dla automatyzacji. Rezerwuar taniej siły roboczej powoli się jednak wyczerpuje. Z jednej strony jest to efektem niskiego przyrostu naturalnego i niskiego poziomu dzietności co jest spowodowane propagandą indywidualizmu i dążenia do wygody własnej i kumulowania bogactwa materialnego co powoduje upadek tradycyjnego modelu rodziny. Z drugiej strony Polacy również mają ambicję i chcą je realizować w oderwaniu od presji wolnego rynku mówiącego jaki zawód mają wykonywać i jak mają żyć. Nie każdy chce być kierowcą ciężarówki, tak jak nie każdy chce być programistą. Dlaczego jedyną słuszną drogę własnego rozwoju mają dyktować oczekiwania pracodawców a nie potrzeby społeczności jako takiej? Jak byłby naród w którym wszyscy poświęcali by się bez opamiętania działalności zarobkowej? Co z pielęgnowaniem historii, rozwojem kultury?

Ale spokojnie, na braki w zatrudnieniu państwo neoliberalne ma przecież wspaniałe lekarstwo. Jest nim imigracja! Taka recepta jest wdrażana w Polsce od kilku lat o czym [wspominałem w jednym ze swoich poprzednich artykułów](#). Pamiętam, jak straszono że w Polsce będzie jak w Niemczech pod względem skutków masowej imigracji. Będąc w Berlinie na jesieni ub. roku muszę przyznać, że nie zauważyłem w wyglądzie ludzi

na ulicy większych różnic w stosunku do np. Warszawy. I tu i tu imigranci z innych kręgów kulturowych stanowili widoczny element. Zdaję sobie sprawę z tego, że nikt nie pragnie zostać imigrantem czy uchodźcą ale w epoce, która dla Europy oznacza walkę z wartościami duchowymi i prymat ekonomii we wszystkich dziedzinach życia staje się to częścią codzienności, którą serwują nam plutokratyczne rządy i unijni urzędnicy. Można by powiedzieć że coraz bardziej doganiamy Europę, szkoda że nie w dziedzinach w których faktycznie powinniśmy to robić. Tania siła robocza z zagranicy i mechanizm jej napływu to powtórka z tego co miało miejsce po II wojnie światowej na Zachodzie. We Francji i Niemczech początkowo również sięgnięto po pracowników z krajów pobliskich. Włosi i Portugalczycy, w mniejszym stopniu Grecy i Hiszpanie swoją pracą przyczynili się do rozwoju gospodarczego rdzenia obecnej Unii Europejskiej. Stopniowo jednak wraz z rozwojem ich krajów ojczystych strumień migracji uległ zmniejszeniu. Aby zaspokoić zapotrzebowanie ze strony pracodawców na siłę roboczą a jednocześnie zapobiec wzrostowi kosztów produkcji na skutek wzrostu płac sięgnięto po migrantów z obszarów pozaeuropejskich, głównie z krajów Maghrebu i Sahelu.

Ten model transformacji społeczeństw w przeciągu kilkunastu lat stał się powszechny na Zachodzie i zaczyna być wdrażany z coraz większą intensywnością w Europie Środkowej. My również powielamy ten sam schemat. W pierwszej kolejności przyjeżdżają do nas Słowianie zza wschodniej granicy. Dyskusyjne jest to w jakim stopniu wtapiają się oni i integrują w ramach cywilizacji łacińskiej, można mieć jednak nadzieję, że taki proces będzie miał miejsce przynajmniej w odniesieniu do części imigrantów z Europy Wschodniej. Widać jednak, że zwiększa się stopniowo udział imigracji spoza Europy. Indie, Pakistan, Bangladesz - z tych krajów pojawia się coraz więcej pracowników, którzy zaznaczają

swoją obecność w kolejnych branżach. Jednocześnie należy zdawać sobie sprawę z tego, że imigranci tworzą swego rodzaju podklasę tzn. że zajmując najgorzej opłacane miejsca pracy w dużej mierze będą funkcjonować na marginesie społeczeństwa tworząc wyobcowaną wobec większości grupę ludzi. To może być czynnik utrudniający ich integrację, która moim zdaniem z uwagi na różnice kulturowe jest trudna i wątpliwa pod kątem etycznym aby wynaradawiać kogokolwiek z jego tożsamości. Po drugie, w przypadku braku powodzenia integracji będzie to czynnik powodujący wzrost niechęci wobec narodu tytularnego tworzącego państwo do którego trafili imigranci. Państwo którego rozwój opiera się na powszechnym napływie obcej siły roboczej i niskich kosztach pracy, tworząc enklawy niskoopłacanych obcokrajowców, przypominać będzie obóz pracy a nie państwo dobrobytu.

Wszelka alternatywa przedstawiana jest jednak jako wcielenie socjalizmu co w Polsce i innych krajach byłego bloku sowieckiego wywołuje oczywistą niechęć. "Państwo dobrobytu" to jednak nie socjalizm ale zespół działań których zadaniem jest rozwój społeczny narodu. Oczywiście w dzisiejszych czasach pojęcie to ulega ideologizacji, i to zarówno z lewa jak i z prawa.

Trzeba więc jasno powiedzieć, że rozwój społeczny i troska o jakość życia członków narodu nie ma nic wspólnego z promowaniem LGBT, liberalizacją w zakresie seksualności, permissywizmem prawnym, legalizacją używek i zachęcaniem do ich użycia, sekularyzacją czy też pochwałą indywidualizmu i konsumpcji. Czy zmniejszenie śmiertelności poprzez rozszerzenie dostępu do dobrej jakości publicznej służby zdrowia można potraktować jako coś złego? Jakie niebezpieczeństwo niesie dla Polaków zapewnienie transportu i skomunikowanie obszarów

peryferyjnych? Można zapytać w ten sam sposób o kilka kolejnych kwestii jak dostęp do mieszkań, zakres i jakość edukacji, kwestie zatrudnienia i jakość miejsc pracy. Nie chodzi jednak o to aby w tym momencie wyszukiwać luki w rozumowaniu kogokolwiek ale o uświadomienie sobie, że w czasach kiedy gospodarka ulegając postępującej finansjalizacji generuje wzrosty słupków PKB przy jednoczesnym ograniczaniu zatrudnienia należy szukać alternatyw które sprzyjać będą rozwojowi narodowemu. Nie chodzi też aby państwo regulowało i wyręczało we wszystkim obywateli ani żeby płaciło za nic nie robienie. Celem powinno być stworzenie warunków w których społeczeństwo znajdzie drogę rozwoju narodowego zgodnego z własną tożsamością i które będzie dysponowało skutecznymi narzędziami do osiągnięcia tego celu.

Zaraz ktoś jednak powie: “Wszystko dobrze, wszystko pięknie ale nas na to nie stać!”. No cóż jest to kwestia względna i zależna od tego jak rozumiemy możliwość wydatkowania środków przez państwo. Po pierwsze należy stwierdzić, że rząd ma przede wszystkim dużo większe pole manewru w zakresie prowadzonej polityki gospodarczej, w tym w decydowaniu w jaki sposób wydawać środki, w sytuacji zachowania kontroli nad własną walutą.^[20] Z tego powodu należy odrzucić wszelką możliwość przyjęcia obcej waluty jako własnej ponieważ tym samym pozbawiamy się możliwości prowadzenia niezależnej polityki gospodarczej. Własna waluta daje sposobność finansowania wydatków bez konieczności zwracania się po środki finansowe do zewnętrznych podmiotów takich jak instytucje międzynarodowe, banki komercyjne czy też inne państwa. Tym samym prowadzona polityka wolna będzie od obcych nacisków i ingerencji. Ważne aby zapewnić pełną akceptowalność emitowanej przez bank centralny waluty, która stanowi prawny środek

płatniczy w danym kraju. Temu służą między innymi podatki, które zapewniają stały popyt na daną walutę, przy założeniu oczywiście że państwo dysponuje sprawnym aparatem administracyjnym w celu wyegzekwowania zobowiązań fiskalnych swoich obywateli. Zapewniając stały popyt na swoją walutę jednocześnie uzyskuje możliwość płacenia nią w ramach gospodarki narodowej za nabywane usługi i towary.^[21] Powyższe założenie w żadnej mierze nie jest głosem za opodatkowaniem wszystkiego i wszystkich, nie jest też argumentem za podwyższaniem podatków. Wręcz przeciwnie, opodatkowanie powinno wytwarzać wyłącznie zapotrzebowanie na walutę a nie być narzędziem służącym do zabierania owoców pracy swoich obywateli. Podatki dodatkowo służą realizacji celów społecznych jak np. akcyza na używki, która ma zmniejszać konsumpcję substancji negatywnie oddziałujących na zdrowie mieszkańców i będące powodem wielu patologii.^[22] Identyczne znaczenie może mieć podatek od pornografii czy tzw. "bykowe". Poprzez podatki państwo ma możliwość wpływania na zachowania obywateli w obszarach które w sposób niekorzystny wpływają na tkankę społeczną.

Podatki powinny być więc wysokie na tyle ile wymaga tego zachowanie stabilnej waluty. Korzystna z punktu widzenia narodowego interesu polityka w zakresie gospodarki powinna skupić się na tworzeniu miejsc pracy i podnoszeniu płac w przypadku osób z niskimi dochodami.^[23] W tym miejscu wracamy do arystotelesowskiej wizji państwa. Skoro celem jego istnienia jest wzrost standardu życia jego obywateli to konieczne są działania zwiększające, a nie zmniejszające siłę nabywczą obywateli.^[24]

Dodatkowo korzystając z możliwości jakie daje sprawowanie kontroli nad własną walutą rząd może wkroczyć w obszar gospodarki jak pracodawca oferujący określoną płacę minimalną. Nie chodzi oczywiście o stworzenie Lewiatana, który będzie przejmował kolejne obszary życia gospodarczego. Mowa w tym przypadku o działaniach o charakterze stabilizującym. Dążąc do tego oczywiście aby to podatki generowały popyt na walutę danego kraju. Wówczas będą chętni do pozyskania tej waluty. Działania podejmowane przez państwo miałyby charakter programowy. W ramach konkretnego programu państwo ustalałoby płacę minimalną wraz z dodatkowymi świadczeniami przysługującymi uczestnikom.^[25] Byłoby to wynagrodzenie podstawowe, które określałoby jedynie dolną granicę, poniżej której wynagrodzenie w sektorze prywatnym nie mogłoby spaść. Program skierowany byłby wszystkich, którzy chcieliby podjąć pracę w zamian za wynagrodzenie które nie byłoby minimum socjalnym, ale które dawałoby możliwość zapewnienia odpowiedniej stopy życiowej. Płaca w ramach rządowego programu gwarancji zatrudnienia działałaby jak cena minimalne w przypadku rolnictwa.^[26] Prywatni pracodawcy mogliby w każdej sytuacji oferować płacę wyższą od tej oferowanej przez rząd tym samym pozyskując pracowników.

Dodatkowo rezultatami funkcjonowania takiego programu byłoby ograniczenie biedy, zredukowanie problemów społecznych związanych z chronicznym bezrobociem takimi jak m. in. rozpad rodzin, uzależnienie od narkotyków, przestępczość. Pracownicy mieliby również możliwość podnoszenie kwalifikacji w związku z doświadczeniem zawodowym. Skurczyłaby się również szara strefa ponieważ pracownicy mogliby skorzystać z rządowych programów zatrudnienia zamiast nielegalnej pracy w sektorze prywatnym. Program taki działałby również jako stabilizator w okresach dekonunktury - spadek zatrudnienia w sektorze

prywatnym mógłby zostać zrekompensowany przez działania rządu w postaci wyżej wymienionego programu gwarantowanego zatrudnienia.^[27] Państwo nie ma na celu zastąpienie sektora prywatnego ale jego wspieranie. Program pełnego zatrudnienia ma stanowić uzupełnienie zatrudnienia w sektorze prywatnym. Dysponując w zasadzie nieograniczonymi środkami państwo mogłoby stymulować także działanie na rynku pracy które uniezależniłyby nas od konieczności ściągania siły roboczej z zagranicy.

Oczywiście można się domyśleć jaka byłyby reakcje neokonserwatywnej prawicy i liberałów spod znaku wielkiego kapitału. Zaraz usłyszymy, że rząd nie ma żadnych pieniędzy ponieważ to są pieniądze podatników. Pytanie skąd biorą się dzisiaj pieniądze? Skąd banki biorą pieniądze na kredyty? Przecież nie od tych, którzy trzymają pieniądze na kontach. Gdyby tak było bank mógłby udzielić kredytów tylko tyle ile zebrałby pieniędzy. Doskonale wiemy, że tak nie jest. Skoro więc banki mają możliwość kreacji pieniądza to dlaczego państwo ma mieć ograniczone pole manewru w tym zakresie, skoro to państwowa instytucja jaką jest bank centralny odpowiada za emisję danej waluty? “Mądre głowy” wmawiają nam, że w związku z tym bezrobocie i bieda oraz ograniczony rozwój to naturalnie występujące koszty w gospodarce więc nie ma co się tym przejmować. Jak mawiał Pan Bronek, wystarczy zmienić pracę i wziąć kredyt... Inni powiedzą że to o czym mowa powyżej to socjalizm a wszyscy wiemy czym to się skończyło. Ale czy naprawdę przekonanie, że wszyscy powinni pracować i w ten sposób wzbogacać społeczeństwo, zamiast próżnować i wykorzystywać pomoc społeczną, można nazywać socjalizmem?^[28]

Tym samym dochodzimy do pytania jaki cel ma realizować państwo. Czy bezrobocie i bieda to narzędzia, którymi państwo ma budować dobrobyt? Fetysz PKB i wskaźników makroekonomicznych to droga donikąd z punktu widzenia rozwoju narodowego. Konieczna jest alternatywa dla takiego myślenia, które uznaje niekorzystne skutki rozwoju gospodarczego w oparciu o neoliberalną agendę za naturalne i nic z tym nie planuje robić. Współczesne gospodarki krajów rozwiniętych oraz w coraz większym stopniu krajów rozwijających się padają ofiarą ich finansjalizacji. Skutki tego obserwujemy na co dzień, zwiększające się nierówności, wzrost poziomu monopolizacji i oligopolizacji kolejnych sektorów gospodarki, degradacja środowiska. Do tego dochodzi problem związany z faktem, że rozwój gospodarczy realizowany w oparciu o zalecenia tzw. ortodoksyjnej szkoły w ekonomii nie prowadzi do wzrostu i rozwoju miejsc pracy. Mamy od co najmniej kilkunastu lat z problemem bezzatrudnieniowego wzrostu gospodarczego. Postępująca automatyzacja powoduje dodatkowo zmniejszenie zapotrzebowania na pracowników, którym pozostaje praca w często źle płatnych sektorach. Zanika działalność produkcyjna w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Pojawiają się głosy, które mają nas przekonać że po kryzysie finansowym z 2008 roku to nowa normalność. Ludzie mają porzucić nadzieję, że będzie lepiej ponieważ gospodarka kapitalistyczna nigdy nie będzie w stanie stworzyć wystarczającej liczby stanowisk dla potencjalnych pracowników.^[29] Okazuje się, że obniżanie stóp procentowych w nieskończoność nie prowadzi do poprawy sytuacji. Przykład USA pokazuje, że taka polityka nie przynosi rezultatów. Brak inwestycji, mizerny wzrost w porównaniu z wieloma innymi krajami, niski poziom przyrostu nowych miejsc pracy charakteryzują od długiego czasu gospodarkę światowego hegemonu.^[30]

Receptą więc na przywrócenie dobrej koniunktury nie jest dalsza deregulacja i prywatyzacja państwa, która ma na celu wyłącznie jego osłabienie kosztem pozapaństwowych instytucji, ale jest nią tworzenie miejsc pracy i zwiększanie wynagrodzeń tych najmniej zarabiających. Nie chodzi w tym wszystkim oczywiście o wzrost konsumpcji opartej na wzroście zadłużenia gospodarstw domowych. Państwo, które daje możliwość każdemu, kto chce mieć swój efektywny wkład w budowę i rozwój narodu to państwo do którego powinniśmy dążyć. Możemy je nazwać państwem dobrobytu, jeśli to nam odpowiada. Ważne, żebyśmy wiedzieli jak to państwo powinno wyglądać aby zapewnić warunki do istnienia i rozwoju całemu narodowi a nie tylko niewielkiej, kompradorskiej grupce.

Marcin Bebko

[1] „Okazuje się więc z tego, że państwo nie jest zespoleniem ludzi na pewnym miejscu dla zabezpieczenia się przed wzajemnymi krzywdami i dla ułatwienia wymiany towarów. Wszystko to co prawda być musi, jeśli państwo ma istnieć, jednakowoż jeśli nawet to wszystko jest, to i tak nie jest to jeszcze państwo, bo jest ono wspólnotą szczęśliwego życia, obejmującą rodziny i rody, dla celów doskonałego i samowystarczalnego bytowania. ”, *Polityka*, ks. III, rozdz. 5, § 13.

[2] Jerzy Holzer, *Europa wojen 1914-1945*, Warszawa 2008, s. 279.

[3] Jerzy Holzer, *Europa zimnej wojny*, Kraków 2012, s. 301.

[4] Jerzy Holzer, *Europa zimnej wojny*, Kraków 2012, s. 299.

[5] Tamże, s. 302.

[6] Tamże, s. 300.

[7] Tamże, s. 309.

[8] Tamże, s. 311.

[9] Tamże.

[10] Tamże, s. 317.

[11] *Zasady Programu Narodowo-Radykalnego, "Falanga" 10.02.1937, s.*

1

(https://jbc.bj.uj.edu.pl/Content/322192/PDF/NDIGCZASo11789_1937_005.pdf).

[12] David Harvey, *Przestrzenie globalnego kapitalizmu*, Warszawa 2016, s. 21-22.

[13] Tamże, s. 48.

[14] Tamże, s. 84.

[15] Tamże, s. 36.

[16] L. Randall Wray, *Nowoczesna teoria monetarna*, Poznań 2019, s. 278.

[17] David Harvey, *dz. cyt.* , s. 37.

[18] Tamże, s. 41.

[19] L. Randall Wray, *dz. cyt.* , s. 304.

[20] Tamże , s. 79.

[21] Tamże, s. 88, 91-92.

[22] Tamże, s. 209.

[23] Tamże, s. 212.

[24] Tamże, s. 222.

[25] Tamże, s. 310-311.

[26] Tamże, s. 312.

[27] Tamże, s. 311.

[28] Tamże, s. 339.

[29] Tamże, s. 386.

[30] Tamże, s. 385.

Adrianna Gąsiorek - Kultura bez szufladki

Od jakiegoś czasu w środowisku nacjonalistycznym zaczynają pojawiać się tematy, które przez lata były zanedbywane. Jednym z takich zagadnień jest na pewno szeroko pojęta kultura. Kwestia osobiście bardzo mi bliska, dlatego postanowiłam napisać kilka swoich przemyśleń dla czytelników "Szturmu". Poniższy artykuł będzie miał formę eseju, ponieważ prawdziwa sztuka nie da się wpasować w narzucone przez ludzi ramy.

Od tych ram zacznę, ponieważ często gdzieś między sobą rozmawiamy o tym, że nasza scena polityczna (mam na myśli politykę rozumianą szerzej niż wyborcze starcia) kuleje w kwestiach, które na przykład na lewicy są dość popularne i mają zdecydowanie większą jakość - poza sztuką, często wymieniamy tu działalność ekologiczną. Co prawda aktywizm społeczny wśród nacjonalistów nakierowany na powyższe płaszczyzny jest znacznie wyższy obecnie niż jakieś paręnaście lat temu. Pojawiają się festiwale, konkursy literackie czy publikacje, które powodują wyjście z "mroku". Podobnie zauważam zwrot ku obszarom związanym z ochroną środowiska. Jednak w kontekście sztuki - teatru, kina i szczególnie literatury sprawa, dla mnie, wygląda nieco inaczej.

Popieram wiele akcji, których zadaniem jest wyjście ze słowem czy obrazem do ludzi z naszego środowiska. Jeszcze lepiej, kiedy to my - jesteśmy twórcami i chcemy dzięki artyzmowi przekazać nasze treści szerzej. Wtedy mamy do czynienia ze sztuką, która ma określony cel, przekaz. Szczególnie widzę to w dziedzinie grafiki komputerowej, którą od niedawna zaczęłam się interesować. Śledzę projekty Koleżeństwa z

różnych organizacji i widzę, że poziom tych współczesnych ikon jest naprawdę wysoki. To, co wychodzi od nacjonalistów, jeśli ma wartość, powinno być przez nas promowane - to oczywiste. Co jednak zrobić, jaki stosunek przyjąć do wytworów, które krążą wokół nas? I tu dochodzimy do sedna - czy kultura powinna mieć polityczne szufladki i czy - ja - odbiorca narzucam sobie i innym pewien sposób odbioru dzieła?

Napisałam wyżej, że lewica sporo osiągnęła w sferze kultury. Prawica gdzieś w tyle próbuje ruszyć z tematem, w którym nie czuje się najlepiej (tak wynika z moich obserwacji). Mimo to obserwuję stale dość ograniczone podejście szerokiej masy “narodowców”, które po prostu zamyka ich wizję świata. Widać to w tekstach czy rozmowach. Nie są w stanie wyjść poza pewien schemat. Postrzegają sztukę przez pryzmat własnego światopoglądu i preferencji politycznej. Dotyczy to jednakowo dzieła, autora, czy w przypadku filmów - poszczególnych aktorów. Nie liczy się twórczość sama w sobie, ale to, jak blisko jest mi do konkretnych treści czy osób. Niektórzy nigdy nie wyjdą dalej niż przeczytanie “Myśli nowoczesnego Polaka”. W ten sposób część osób, które identyfikują się z prawicą, nie tylko nie tworzy nic swojego, ale również nie zna nic, co mogłoby otworzyć im symboliczne “klapki na oczach”. Sztuka bowiem wychodzi daleko poza ten podział. W związku z tym, że nie utożsamiam się z żadną ze stron owego podziału, widzę, jak wielkim zagrożeniem jest powyższe podejście.

Jako kinomaniak nie jestem w stanie wyobrazić sobie okoliczności, w których nie zapoznam się z interesującym dziełem ze względu na jego tematykę, obsadę, czy postać reżysera, który pogładowo mi nie odpowiada. W zasadzie, gdybym miała się kierować, w kontekście wyboru książek czy filmów zgodnością ideologiczną z ich twórcami, to

musiałabym znaleźć inne zainteresowania. Podobnie zresztą miałabym z muzyką i jej odbiorem.

Byłoby to o tyle złe podejście, ponieważ ograniczałoby umiejętności dyskusowania i oceniania rzeczywistości. Każdy obraz wyrabia w nas konkretne odczucia i własny sposób interpretacji. Zachęcam, żebyśmy odeszli od szkolnego pytania “co autor miał na myśli?”. Nie to powinno być dla nas istotne. Pytanie powinno brzmieć “co mnie dała styczność z tym tekstem kultury?”. Oceniając sztukę, musimy w pewien sposób wyjść poza własne ramy. Jest to trudne, kiedy ściśle trzymamy się politycznych wyznaczników. Czy dzieło stworzone przez, tak zwanych, “lewaków” będzie lepsze czy gorsze dla mnie? Czy mogę być odbiorcą sztuki, która uderza w mój światopogląd i czy będę w stanie ją ocenić bez uprzedzeń? Pytania dość proste, jeśli przyjmiemy, że kultura jest ponad nami - likwiduje podziały, które sami stwarzamy.

Jako nacjonałiści mamy nieco ułatwione zadanie i możemy je dobrze wykorzystać po to, aby rozwijać się kulturalnie i stale pracować nad sobą, a nie przyjmować jeden, niezmienny punkt. Naszym obowiązkiem jest wyrabiać sobie opinię na to, co dzieje się tu i teraz. Szukać odpowiedzi nie tylko w tekstach dawnych przedstawicieli naszego nurtu, ale tworzyć nowe. Jak jednak to robić, kiedy ma się powściągliwy umysł? Dlatego osobiście, w kontekście wyborów kulturalnych, mogę być “lewakiem”, jeśli oznacza to wyjście poza znane mi horyzonty.

Co dzięki temu możemy zyskać? W najgorszym razie - wiedzę i świadomość, że wiemy, o czym mówimy - nie jest to dość popularne. Zazwyczaj wypowiadamy się, chociaż nie mamy pojęcia, o czym. Przykład? “Nasza - nie-nasza” Noblistka Olga Tokarczuk. Skupiając się

tylko i wyłącznie na treści książek, abstrahując od poglądów, można w sposób merytoryczny wypowiedzieć się, jakie mamy podejście do tego typu literatury. Po ogłoszeniu wyników Nagrody Nobla nagle okazało się, że wielu moich znajomych to znawcy literatury Tokarczuk. W kontekście rozmów na temat przyznania tej, a nie innej osobie tego wyróżnienia, od razu spadli na pozycję niższą w dyskusji - ciężko nawet krytykować coś, jeśli się tego nie zna.

Powyższy przykład to tylko jedna z możliwości, które zyskamy - zabieranie głosu i bycie brany pod uwagę jako osoba, która wie, o czym chce powiedzieć, nawet jeśli ma to być całościowa krytyka. Jednak przede wszystkim warto szukać w kulturze - historii, które sprawiają, że zaczynamy analizować i poddawać pod wątpliwość to, co do tej pory było oczywiste. Weryfikujemy, co tak naprawdę jest dla nas ważne. Staram się oddzielić twórcę od dzieła i ocenić je bez dodatkowych informacji. To ma być moja ocena - tego, czy dany tekst kultury wniósł coś, przez te około dwie godziny, do mojego życia. Jeśli lewicowy reżyser sprawił, że wyszłam z kina i czuję, że warto było zmierzyć się z tematem, to dziękuję, że stałam się jego odbiorcą. Jeśli prawicowy autor czy muzyk dał mi podobne odczucie - to również jestem za.

Warto zastanowić się, czym dla każdego z nas jest wartość kulturalna. Czego szukamy w sztuce albo czy w ogóle ma ona dla nas znaczenie. W końcu w Piramidzie Masłowa jest dość wysoko, czyli dla wielu ludzi może okazać się zbyteczna lub po prostu nie musi utrzymywać wysokiego poziomu. Jej zadaniem będzie w tym momencie dostarczenie tylko odpowiedniej rozrywki, a nie pobudzenie do myślenia.

Patrząc na jakość wielu produkcji, można wysnuć tezę, że popyt na sztukę masową zawsze będzie ogromny. Nie ma w tym nic złego ani zaskakującego. Myślę jednak, że jeśli mamy być rewolucjonistami i kreować się na awangardę wobec zgnilizny tego świata, musimy zacząć więcej od siebie wymagać. Znać różne perspektywy i móc dyskutować bez ograniczeń. Kultura i jej znajomość jest niezastąpiona w rozwoju jednostki, społeczeństwa i państwa. Bez względu na jej "przynależności" polityczne czy światopoglądowe.

Witomysł Myduj - Dresden gedenken: upamiętnienie 75 rocznicy bombardowań

Wycieczka do Drezna to świetny sposób na spędzenie weekendu. W przerwie między zwiedzaniem Albertinum i Zwingera postanawiamy stawić się na manifestacji upamiętniającej bombardowania.

Zainteresowanych tematem pod kątem historycznym polecam tekst Adama Bussego [1], natomiast w tym artykule chciałbym opisać zwięźle samo wydarzenie.

Kontrowersje wokół tego przedsięwzięcia rozgrzały Drezno już kilka dni wcześniej. Ze strony organizatorów były to liczne akcje ulotkowe połączone z efektownym happeningiem oraz graffiti upamiętniające ofiary. Niestety sztuka uliczna szybko ucierpiała z uwagi na działalność lokalnych grup antyfaszystowskich (które swoją drogą dość wyraźnie zaznaczają swoją obecność na ulicach Drezna), co więcej, pobazgrano również sam pomnik związany z tym historycznym wydarzeniem zlokalizowany w ścisłym centrum. W nocy poprzedzającej manifestację sprawnie oczyszczone miejsce pamięci było strzeżone bezpośrednio przez lokalnych aktywistów. Warto zwrócić uwagę na fakt, że wszystkie materiały propagandowe, włącznie ze specjalnie postawioną, rzetelną i kompletną stroną internetową [2], pozbawione były szyldów partii politycznych i innych organizacji, które współtworzyły wydarzenie. Zgromadzenie rozpoczęło się przy skateparku Lingerallee już o godzinie 14:00, jednak wyruszyło z dużym opóźnieniem i zmodyfikowaną trasą ze względu na obecność licznej kontrmanifestacji, której liczba uczestników przewyższyła zdecydowanie manifestację tożsamościowców. Były to komitety antyfaszystowskie, feministyczne oraz przeciętni, zindoktrynowani mieszkańcy. Warto podkreślić, że średnia wieku była

tam rażąco niska. Mimo hucznych video-zapowiedzi „bojowej” antify niekiedy ich barwy w tłumie trzymały nastolatki, wręcz dzieci. Z jednej strony ten fakt bawi, z drugiej smuci z uwagi na dość przykre perspektywy pokoleniowe. Po drugiej stronie policyjnego kordonu zbierały się zagraniczne delegacje, a także dużo ekip, często subkulturowych old-boyów, prawdopodobnie zmobilizowane z całych Niemiec. Odnosiło się wrażenie, iż mało osób przyszło tam „z przypadku”. Ruszyliśmy przy akompaniamencie niemieckiej, klasycznej, żałobnej muzyki, którą dość skutecznie zagłuszało techno i inne rodzaje muzyki elektronicznej z przeciwnego obozu. Kontrmanifestanci snuli się niejako na obrzeżach manifestacji, by finalnie okrążyć cały końcowy wiec. Nie uszanowano minuty ciszy oraz hymnu (odśpiewanego w pełnej wersji). Całe lewicowe towarzystwo było wyjątkowo rozwydrzone i zdeterminowane.

W trakcie przemarszu był zakaz robienia zdjęć, zasłaniania twarzy oraz palenia papierosów co było skrupulatnie napominane przez wewnętrzne służby porządkowe. Sami maszerujący wykazali się dyscypliną na niespotykaną skalę, nie doszło do żadnych incydentów mimo licznych prowokacji- kulturalnie i w ciszy przemaszerowano do miejsca docelowego. Trzeba przyznać uczciwie, że zachowanie policji niemieckiej było bez zarzutu. Zmobilizowano bardzo duże siły prewencyjne, na ulicach pojawiły się również rezerwowe wozy policyjne z dawnych lat. Byli raczej biernymi obserwatorami, nie legitymowali ani nie przeszukiwali nikogo, nie wstawiali upierdliwych mandatów, co znane jest z naszego polskiego klimatu. Zakazane było również niesienie własnych banerów i szyldów niezwiązanych z wydarzeniem, dlatego też goście zza granicy nieśli na przedzie wyłącznie flagi narodowe. Zwieńczeniem manifestacji był wiec przy Dworcu Głównym. Na początku wymieniono bardzo długą listę zbombardowanych w trakcie wojny miast

niemieckich, później miały miejsce kolejno przemówienia organizatorów (dwujęzyczne) oraz po angielsku gości. Trwało to zdecydowanie za długo, trudno było się skupić w hałasie wytwarzanym przez antyfaszystowskich dzikusów. Wszystkie przemowy miały wydźwięk proeuropejski i antyszowinistyczny. Dopatrzyłem się również obecności przedstawiciela amerykańskiego alt-right Aspira Leonis Befreiera, którego Szturm gościł na konferencji „Europa Przyszłości” w 2017r. w Warszawie.

Przemawiający podkreślali fakt, że mimo różnic wynikających z historycznych zaszczości, mamy wspólne europejskie dziedzictwo, a przede wszystkim wspólnego wroga – międzynarodowy liberalizm. Na zakończenie, gdy dochodziła już 19:00, podziękowano symbolicznie wszystkim gościom, miło było usłyszeć również odezwę w języku polskim. Manifestacja wg organizatorów liczyła 2500 uczestników co jest wiarygodną liczbą z uwagi na liczenie, które miało miejsce w trakcie. Niemcy udowodnili, że mimo trudnych warunków politycznych i społecznych można z powodzeniem i godnie obchodzić ważne rocznice.

Witomysł Myduj

[1] <https://3droga.pl/historia/adam-busse-bombardowanie-drezna-1314-ii-1945-r/>

[2] <http://www.dresden-gedenken.info/>

Jarosław Ostrogniew - Co czytać? Subiektywny wybór literatury współczesnej

Literatura współczesna jest zdominowana przez autorów, krytyków i wydawców o poglądach liberalnych lub lewicowych. Zrobili oni z literaturą współczesną to, co robią ze wszystkim – doprowadzili na skraj upadku w imię zasady maksymalizacji zysku z jednej strony (i zamiany literatury w produkt, który ma odnieść komercyjny sukces) oraz dążenia do fałszywej równości z drugiej (i zamiany literatury w narzędzie walki ideologicznej). Jednak w literaturze współczesnej głównego nurtu pojawiają się również autorzy, którzy idą wbrew tym najgorszym tendencjom. To ich twórczość może szczególnie zainteresować nacjonalistów, choć należy od razu zaznaczyć, że żaden z wymienionych tu autorów nie deklaruje się otwarcie jako nacjonalista. Co więcej – prawdopodobnie żaden z nich nie jest potajemnie nacjonalistą, choć część z nich sympatyzuje z naprawdę antysytemowymi ideami i ruchami; niektórzy w o wiele większym stopniu niż mogą otwarcie przyznać, jeśli chcą wciąż publikować i sprzedawać swoje książki.

Wszystkich tych twórców łączą dwa aspekty: pierwszy - dostrzegalny od razu, drugi - dostrzegalny dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się ich twórczości. Ten pierwszy, bardziej widoczny, to analiza i krytyka dekadencji współczesnego Zachodu. Drugi, bardziej ukryty, to pozycja, z której ta krytyka jest wyprowadzana. Jest ona mniej lub bardziej zbliżona do tego, co łączy nacjonalistów, tożsamościowców, czy tradycjonalistów: do tragicznej koncepcji życia – przekonania o tym, że człowiek nie żyje po to, żeby minimalizować cierpienie i maksymalizować przyjemność, ale po to, aby odkryć i zrealizować ukryty sens swojego istnienia. A jeśli nie

będzie w stanie go odkryć – aby go poszukiwać, ponieważ tym sensem może być tylko jego poszukiwanie.

Kronikarz upadku

Michel Houellebecq to chyba najbardziej znany żyjący francuski pisarz i jeden z najważniejszych przedstawicieli literatury współczesnej. Bohaterami jego powieści są najczęściej mężczyźni w średnim wieku, którzy niezależnie od swojej pozycji społecznej przeżywają depresję i rozczarowanie światem, a kolejne wydarzenia i kolejne spotkane przez nich osoby nakręcają jedynie spiralę beznadziei i bezsensu. Bohaterowie powieści Houellebecqa do pewnego stopnia stanowią jego alter ego – jest to na tyle wysoki stopień, że gdy w „Mapie i terytorium” jako bohater drugoplanowy pojawia się sam Houellebecq, mamy wrażenie że autor jednak bardziej utożsamia się z głównym bohaterem tej książki niż z samym sobą. Houellebecq wypracował bardzo specyficzny styl pisania: oszczędny, ironiczny, prześmiewczo wykorzystujący slogany znane ze współczesnych mediów. W jego powieściach jest niewiele dialogów, narrację stanowią przede wszystkim rzeczowe opisy wydarzeń i przemyśleń głównego bohatera. W odróżnieniu od wielu powieści psychologicznych, w książkach Houellebecqa pojawiają się zwroty akcji, czy graniczne wydarzenia w rodzaju morderstw czy ataków terrorystycznych. Jednak autor ten potrafi opisywać wszystko w niezwykle interesujący sposób – niezależnie czy bohater powieści beczynnie spędza kolejny dzień, nie wychodząc z domu, planuje morderstwo, czy jest świadkiem wielkiego przełomu politycznego. Pomimo trudnej tematyki i przygnębiających refleksji, powieści Houellebecqa po prostu dobrze się czyta i trudno się od nich oderwać.

Houellebecq jest przede wszystkim wnikliwym kronikarzem upadku Zachodu. W 2019 roku otrzymał on nagrodę imienia Oswalda Spenglera i to chyba najlepiej podsumowuje twórczość tego autora. Houellebecq opisuje dekadencję i nihilizm współczesnych Europejczyków, ale go nie ocenia – a przynajmniej nie ocenia wprost. Houellebecq jako człowiek jest legendarnie niemiły, zamknięty w sobie, depresyjny i pozbawiony złudzeń. Jednak o ile z ironicznym dystansem ukazuje nonsens liberalnego światopoglądu, to nie szydzi z beznadziejnej sytuacji swoich bohaterów. Jego książki podszyte są głębokim współczuciem dla ludzi, którzy nie mogą znaleźć sensu w świecie pełnych brzuchów i pustych dusz, a do których autor zalicza samego siebie. Jego powieści to przede wszystkim bolesna wiwisekcja najbardziej duchowo martwej grupy społecznej w historii ludzkości – współczesnej europejskiej klasy średniej. Ważnym wątkiem przewijającym się przez książki Houellebecqa jest seksualność – jego bohaterowie szukają ucieczki przed bezsensem życia w perwersji lub całkowicie rezygnują z życia seksualnego; ani jedno, ani drugie nie przynosi im ukojenia. Kolejne ważne wątki tematyczne to rozpad tradycyjnych więzi społecznych, zwłaszcza rodziny, upadek rolnictwa i wiejskiego stylu życia, obłudny zachodni humanitaryzm połączony z kolonializmem, konfrontacja świata zachodniego z islamem, upadek chrześcijaństwa zarówno jako instytucji kościoła jak i wewnętrznego życia duchowego, czy bankructwo moralne i degeneracja pokolenia '68.

Rzeczywisty światopogląd Houellebecqa i jego poglądy polityczne stanowią stały punkt sporów oraz dyskusji zarówno zwolenników jak i przeciwników jego twórczości. Jest on często oskarżany o rasizm, islamofobię, mizoginię i inne myślozbrodnie. Zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy pisarza twierdzą, że w rzeczywistości jest on o wiele bardziej

„na prawo”, niż chce publicznie przyznać. Jak jest naprawdę – trudno powiedzieć. Z jednej strony Houellebecq krytykuje zachodni liberalizm i pokazuje jego katastrofalne skutki. Z drugiej – krytykuje również tradycjonalistów, tożsamościowców czy nacjonalistów oraz ich recepty na upadek Europy. Z jednej strony Houellebecq dobrze orientuje się w poglądach i specyfice francuskiego ruchu tożsamościowego. Z drugiej – ma przyjaciół po lewej stronie sceny politycznej, a jego obecna żona jest Chinką. Uważam – podobnie jak inni miłośnicy jego twórczości wywodzący się z naszego kręgu ideowego – że Houellebecq nie jest nacjonalistą, ale sympatyzuje z ruchami tożsamościowymi czy narodowo-ludowymi, które dążą do obalenia liberalnego porządku. Jest jednak sfrustrowany nieskutecznością tych ruchów oraz ich słabością ideologiczną, a jego krytyka ma przede wszystkim zmusić ich przedstawicieli do gruntownego przemyślenia i zmiany swojej strategii. Houellebecq pisze również felietony i komentarze społeczno-polityczne, które dostępne są w języku polskim, jednak są one o wiele mniej ciekawe niż jego refleksje na ten sam temat, które możemy znaleźć w jego powieściach. Pisarz sam siebie określa raczej jako zwolennika demokracji bezpośredniej z sympatią patrzącego na ruch Żółtych Kamizelek i na europejskich populistów (co jeszcze nie znaczy, że włącza się w ich działania, czy nawet na nich głośuje).

Najlepszą powieścią Houellebecqa jest „Mapa i terytorium”, w której poprzez historię współczesnego malarza, który trochę przypadkiem staje się znanym fotografem, ukazuje upadek francuskiej klasy średniej, ze szczególnym naciskiem na całkowity zanik relacji międzyludzkich i degenerację instytucji rodziny. Dla nacjonalistów pozycją obowiązkową jest „Upadek” - alternatywna historia, w której islamiści przejmują władzę we Francji i zaczynają wielką reformę społeczną i kulturową. W

tej powieści znajduje się również ciekawy opis ruchu tożsamościowego oraz błędów, których dokonuje on w konfrontacji z islamem, a także intrygujący obraz degeneracji z jednej strony kościoła, a z drugiej – nowej świeckiej elity, czyli kręgów akademickich. Debiutancka powieść Houellebecq „Cząstki elementarne” to wciągająca analiza degeneracji pokolenia ‘68 i fałszu tzw. „rewolucji seksualnej”, która zadaje całej tej formacji społeczno-politycznej o wiele mocniejsze ciosy niż większość analiz socjologicznych czy politologicznych. Bardzo dobra jest również ostatnia powieść „Serotonina”, w której wszystkie wcześniej poruszane wątki – upadek systemu społecznego, rozpad więzi rodzinnych, perwersja i impotencja, depresja – przedstawione są w szczególnie ostry i ironiczny sposób, a w samym zakończeniu powieści Houellebecq sugeruje swoją sympatię dla katolicyzmu.

Warto też wspomnieć, że Houellebecq jest również poetą, ale jego wiersze są poza Francją praktycznie nieznane. O ile polecam wszystkie jego powieści, ze szczególnym wskazaniem czterech wcześniej wymienionych, to uważam, że jego eseje nie są już tak interesujące (poza esejem poświęconym H.P. Lovecraftowi), a filmy o Houellebecqu, czy ekranizacje jego twórczości wypadają bardzo słabo i zdecydowanie nie należy od nich zaczynać poznawania twórczości tego pisarza.

W poszukiwaniu sensu

Peter Handke otrzymał w 2019 roku nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. W Polsce przeszła ona praktycznie bez echa, ponieważ w tym samym czasie laureatką została polska pisarka Olga Tokarczuk, jednak na świecie to nagroda dla Handkego wywołała o wiele większe poruszenie. Ten austriacki twórca uważany jest za enfant terrible współczesnej

europiejskiej literatury – z jednej strony twórcę wybitnego, tworzącego naprawdę ważne dzieła, a z drugiej wygłaszającego zniechęcające kontrowersyjne twierdzenia. Warto też wspomnieć, że znaczącą część twórczości Handkego stanowią sztuki teatralne, a o ile współczesna literatura europejska jest mocno lewoskrętna i liberalna, to współczesny teatr stanowi czarną (a raczej - czerwoną) dziurę, anihilującą wszystko, co odstaje od radykalnie lewo-liberalnej linii ideologicznej. Zatem kontrowersyjne wypowiedzi Handkego na tym tle rezonują szczególnie mocno.

Twórczość Handkego jest dobra, ale trudna. W swoich powieściach, dramatach i esejach skupia się na opisie życia wewnętrznego swoich bohaterów, a także na subtelnych szczegółach otaczającego ich świata. Czytanie tych książek wymaga maksymalnego skupienia i zrozumienia dla powolnej akcji i gęstego opisu. Jednak nie jest to cicha gadanina czy lanie wody (jak niestety często bywa w przypadku tego typu książek) – Handke poszukuje sensu w życiu i świecie, jego twórczość zostaje z uważnym czytelnikiem na dłużej. Zresztą sam byłem rozczarowany w trakcie i zaraz po lekturze jego pierwszej książki, która trafiła w moje ręce, jednak już po przeczytaniu pewne zdania czy refleksje wracały do mnie w różnych sytuacjach i wtedy doceniłem siłę pisarstwa Handkego. Handke wymaga dużo od siebie jako od autora – ale równie dużo wymaga od czytelnika.

W twórczości Handkego wiele miejsca zajmuje autorefleksja. Jego matka była Słowenką z Karyntii, jego ojciec z kolei niemieckim żołnierzem Wehrmachtu, Handke urodził się jeszcze w trakcie II wojny światowej, a losy jego rodziny trudno uznać za szczęśliwe (zresztą powieść o życiu swojej matki adekwatnie zatytułował „Pełnia nieszczęścia”). Handke

analizuje z pozoru nieistotne szczegóły, drobne wydarzenie i stara się dociec ich sensu – jest to analiza nieprzyjemna zarówno dla autora jak i dla czytelnika, w której obie strony muszą sobie pozwolić na całkowitą szczerość, ale która zmierza do głębszego zrozumienia tego, po co człowiek żyje i perspektyw, z których można oceniać jego wybory życiowe.

Dlaczego twórczość Handkego może zainteresować nacjonalistów? Zaczniemy od razu od tego, że Handke z pewnością nie jest nacjonalistą i pewnie bardzo by się obruszył, gdyby go z nacjonalizmem połączyć. Jednak wiele wątków jego twórczości może być dla nas szczególnie interesujących. Zaczniemy od najbardziej oczywistego – sprzeciw Handkego wobec liberalno-lewicowego establishmentu, zarówno politycznego jak i kulturalnego. Handke na samym początku swojej kariery został entuzjastycznie przyjęty przez wówczas jeszcze dość młodych radykalnie lewicowych przedstawicieli niemieckojęzycznej kultury – i odpłacił im się publiczną krytyką i wyśmianiem ich poglądów opartych na iluzjach i uproszczeniach. Największym skandalem były jednak eseje, które Handke napisał podczas wojny w Jugosławii. Poszedł on całkowicie wbrew ówczesnemu establishmentowi i publicznie sprzeciwił się obwinianiu Serbów o całą sytuację. Potrafił pokazać racje stojące po stronie tego narodu, a także opisał okrucieństwa i zbrodnie, które były w nich wymierzone. Wyjątkową herezją było opisanie przez niego wydarzeń w Srebrenicy – Handke mówił o przyczynach tego mordu, a także o jego rzeczywistej skali, wszystko wbrew medialnemu obrazowi kreowanemu w zachodnich mediach. Szczególne uznanie należy się Handkemu za to, że nie cofnął się przed szantażem moralnym, postawił swoją karierę na szali i publicznie bronił swojego stanowiska. Co więcej – był jedynym przedstawicielem Zachodu, który zabrał głos na pogrzebie Slobodana Miloszevicia (mimo że był dość odległy ideowo od

większości jego zwolenników).

Kolejnym interesującym nas elementem twórczości Handkego jest jego krytyka współczesnej Europy. Ukazuje on fałsz oraz pustkę, którą podszyty jest liberalny kapitalizm. Współczesny zachodni system społeczno-polityczny rzeczywiście nappełnił ludziom brzuchy, jednak spowodował pustkę duchową. Handke nie ma jednak złudzeń co do tego, jak świat wyglądał kiedyś – pokazuje również okrucieństwo i nędzę życia na dawnej wsi. Jednak nie jest to lewicowa agitka nawołująca do wprowadzenia tęczowego kołchozu. Handkemu chodzi raczej o to, że człowiek niezależnie od okoliczności zewnętrznych zawsze będzie stał w obliczu tego samego problemu – poszukiwania sensu własnego życia. Tego problemu nie rozwiąże za niego żaden system, a odpowiedzi można spróbować szukać w bardziej autentycznym życiu, w przełamaniu społecznego konformizmu i dążeniu do prawdziwych relacji i autentycznego życia.

W twórczości Handkego można znaleźć wiele wątków z myśli Martina Heideggera (który w końcu był jednym z najważniejszych intelektualistów stojących po naszej stronie): wspomniany rozdźwięk między życiem autentycznym a pustymi formami życia społecznego, namysł nad znaczeniem języka w kreowaniu świata, czy poszukiwanie sensu w prostych czynnościach. Kolejnym ważnym wątkiem jest znaczenie historii i przynależności etnicznej czy kulturowej w życiu człowieka. Handke pokazuje ich ciemne strony, ale nie idzie tropem lewicy, która nawołuje do zniesienia wszystkich różnic między ludźmi – te różnice są nieuniknione, należy im się dokładnie przyjrzeć, głośno nazwać również ich negatywne konsekwencje, ale ostatecznie należy je zaakceptować i nie próbować przed nimi uciekać.

Właściwie wszystkie książki Handkego dostępne w polskich przekładach są godne polecenia – należy jednak jeszcze raz podkreślić, że jest to wymagająca lektura, szczególnie dla osób, które przedtem nie miały kontaktu z tego typu twórczością. Dobrym wprowadzeniem do twórczości Handkego jest film dokumentalny „Peter Handke – Bin in Wald. Kann sein, das ich mich verspäte...” (dostępny również w polskiej wersji językowej), a także filmy, do których napisał scenariusz, jak słynne „Niebo nad Berlinem”.

Wieczny powrót wszystkiego

Christian Kracht jest przedstawicielem (w miarę) młodego pokolenia niemieckojęzycznej literatury. Ten szwajcarski pisarz zaczynał karierę jako dziennikarz i podróżnik – i jest to widoczne w jego powieściach. Przede wszystkim sama ich tematyka dotyczy podróży oraz konfrontacji między ludźmi pochodzącymi z różnych światów (zachodniego i wschodniego lub północnego i południowego). Po drugie, Kracht lubi żonglować egzotycznymi motywami (Kracht w ogóle lubi żonglować motywami, ale o tym więcej w dalszej części). Po trzecie, jego książki napisane są takim właśnie nowoczesnym, zwięzłym stylem, momentami bardziej przypominającym travelogue niż powieść.

Proza Krachta jest zdecydowanie postmodernistyczna – dużo jest tutaj zabawy intelektualnej, żonglowania pozornie niepasującymi do siebie motywami, czy intertekstualności. Przeszłość miesza się przyszłością, postacie historyczne z fikcyjnymi, prawda z fałszem, powaga z żartem. Kracht sprawnie posługuje się konwencją pastiszu – nie jest to przechwalanie się przed czytelnikiem, na zasadzie „popatrz, jaki jestem

oczytany!”, tylko sposób na opowiedzenie interesującej historii, w której sprawny czytelnik może odkryć drugie, czy nawet trzecie dno. Ta intertekstualność prozy Krachta jest szczególnie interesująca, ponieważ odwołuje się ona zarówno do dzieł kultury „wysokiej” jak i „niskiej”. Jeżeli ktoś lubi zarówno klasykę literatury jak i komiksy, a do tego pasjonuje się historią XX wieku, będzie miał z lektury książek Krachta szczególną przyjemność.

Dlaczego twórczość Krachta może interesować nacjonalistów? Jest on regularnie oskarżany o rasizm i inne myślozbrodnie, ale podejrzewam, że w rzeczywistości nie ma on zbyt radykalnych poglądów. Na pewno nie jest mainstreamowym liberałem ani lewakiem, w jego prozie znajduje się sporo złośliwości wymierzonych w te matryce światopoglądowe. Myślę, że zalicza się do grona artystów w rodzaju Douglasa Pearce’a czy Yukio Mishimy, u których estetyka jest ważniejsza od etyki i łączy się z pewną fascynacją archetypami i symbolami. U Krachta pojawia się sporo odniesień do europejskiego kolonializmu czy totalitaryzmu, jednak nie idzie on tutaj tropem radykalnie lewicowych autorów, którzy żądają, aby wszyscy, a szczególnie Niemcy, ciągle przepraszaali i dokonywali rytualnego samobiczowania; jest to raczej jeden z elementów europejskiej przeszłości, który należy dostrzec i przyjąć do wiadomości, a przed którym nie da się uciec.

Najciekawszą powieścią Krachta jest nieprzetłumaczone na polski „Imperium” (na szczęście oprócz niemieckojęzycznego oryginału dostępny jest też przekład na język angielski). Jest to opowieść o autentycznym niemieckim proto-hipisie z przełomu XIX i XX wieku: Auguście Engelhardcie, który postulował stworzenie nowego społeczeństwa, opartego na zasadach pacyfizmu, kultu Słońca, nudyzmu i

diety złożonej tylko z kokosów (!). Swoje utopijne wizje próbuje on zrealizować poprzez stworzenie komuny w niemieckiej kolonii w Nowej Gwinei. Zarówno w powieści jak i w rzeczywistości cała ta wyprawa przyniosła opłakane skutki. Kracht przedstawia tę historię w ironiczny sposób i stara się przepracować problem niemieckiego mesjanizmu, czy skłonności do utopijnego myślenia. Brodaty pacyfista Engelhardt jest tutaj ukazany jako natchniony przywódca, niepokojąco podobny do Adolfa Hitlera.

Dostępna po polsku jest inna powieść Krachta „Tu będę w słońcu i cieniu”. Akcja powieści toczy się w 2010 roku w Szwajcarii – ale jest to całkiem inna Europa niż ta, którą znamy. W tej alternatywnej wizji historii Lenin nie wrócił do Rosji, tylko stanął na czele rewolucji komunistycznej w Szwajcarii – i odniósł sukces. Efektem przejęcia władzy przez bolszewików w centrum Europy jest trwająca bez przerwy prawie cały wiek wojna między blokiem komunistycznym i antykomunistycznym. Aby zapewnić sobie mięso armatnie, komuniści zaczynają kolonizację Afryki, gdzie z jednej strony wprowadzają nowoczesną cywilizację, a z drugiej wcielają młodych Afrykańczyków do swojego wojska. Głównym bohaterem powieści jest czarny komisarz polityczny, który aby aresztować „wroga ludu”, musi udać się w podróż w głąb komunistycznej Szwajcarii. Okazuje się to być wyprawą do jądra ciemności – kraju pogrążonego w ideologicznym i narkotycznym szaleństwie. Powieść jest mocno inspirowana twórczością i ideami ezoterycznego komunisty Nikołaja Roericha oraz wizjami alternatywnej historii z twórczości Ensta Jüngera. Jednym z głównych wątków jest tutaj europejski kolonializm, motyw ściągania do Europy mieszkańców Afryki, w celu utrzymania umiarkowanego systemu politycznego, jest szczególnie ciekawy w kontekście sprowadzania do Unii Europejskiej imigrantów z

Bliskiego Wschodu, pod pretekstem rozwiązywania kryzysów humanitarnych w regionie.

Kolejną przetłumaczoną na polski książką Krachta są „Umarli”. Jest to wypełniona historycznymi postaciami i fikcyjnymi wydarzeniami powieść o współpracy na polu kinematografii między III Rzeszą a imperialną Japonią. Kracht przede wszystkim eksploruje tutaj problem relacji między Wschodem a Zachodem, zderzenia między mentalnością europejską a azjatycką, relacji między estetyką a etyką, a także między systemem totalitarnym a kulturą.

Szok i niedowierzenie

Chuck Palahniuk jest jednym z najważniejszych i najbardziej kontrowersyjnych amerykańskich pisarzy. Pomimo tego że jego książki osiągają wysokie nakłady i z pewnością mogłyby przynależeć do głównego nurtu zarówno literatury popularnej jak i „wysokiej”, pozostaje na uboczu amerykańskiego świata literackiego i pisze w swoim własnym, oryginalnym stylu, nie idąc na kompromisy. Zarówno twórczość jak i styl bycia Palahniuka są mocno osadzone w transgresywnej tradycji amerykańskiej kontrkultury. Jego proza jest mocna i szokująca, a jej celem jest wstrząsnąć czytelnikiem, momentami obrzydzić go – ale przede wszystkim przykuć jego uwagę i zmusić do myślenia. Proza Palahniuka jest bardzo efektowna, momentami wręcz efekciarska, napisana możliwe najbardziej efektywnym stylem. Sam pisarz podkreśla, że jest to skutek udziału w warsztatach pisarskich, na których młodzi autorzy prezentowali swoje próby literackie, czytając je na głos w wypełnionym ludźmi pubie – jedynie mocna i minimalistyczna proza była w stanie w takich warunkach przyciągnąć uwagę słuchaczy.

Palahniuk w swojej twórczości łamie kolejne tabu i przekracza kolejne normy. Nie jest to jednak szokowanie dla szokowania, czy dla osiągnięcia komercyjnego sukcesu. Jest to przede wszystkim mroczna satyra wymierzona w ugrzecznione liberalne społeczeństwo, które próbuje sprowadzić człowieka do roli potulnego konsumenta i odrzec jego życie z jakiegokolwiek cienia. Palahniuk ukazuje pewne mroczne instynkty, które są cały czas ukryte w człowieku i które – jeśli będą ciągle wypierane – uderzą z podwójną mocą. Pisarz ten odcina się od nihilizmu, sam twierdzi, że jest romantykiem zbuntowanym przeciw współczesnemu światu i współczesnej kulturze.

Czemu proza Palahniuka może zainteresować nacjonalistów? Z

pewnością ten autor nie jest nacjonalistą, jego styl życia jest dość typowy dla amerykańskiej bohemy, jest homoseksualistą i jawnie opowiada się za raczej daleko idącym indywidualizmem i wolnością jednostki. Jednak atakuje on poprawność polityczną i liberalizm z pozycji, które trudno uznać za lewicowe czy jeszcze bardziej liberalne. Dwie jego powieści szczególnie powinny zainteresować osoby z naszego kręgu ideowego. Pierwszą jest słynny debiut „Fight Club”, którego adaptacja filmowa stała się jeszcze bardziej znana. Celem Palahniuka było – jak sam przyznaje – stworzenie powieści skierowanej do współczesnych mężczyzn. To zresztą bardzo ciekawe, że homoseksualista i przedstawiciel amerykańskiej bohemy stanął w obronie tradycyjnie rozumianej męskości i pokazał, że chociażby przemoc czy potrzeba przynależności do męskiej grupy (jakiejś formy Männerbund) jest stałym i nieusuwalnym elementem bycia mężczyzną. Z drugiej strony warto pamiętać, że Palahniuk chciał ostrzec młodych mężczyzn przed przemocą, która jest niemożliwa do całkowitego opanowania, jest uzależniająca i ostatecznie niszcząca jednostkę i społeczeństwo siłą. Jednak to ten wewnętrzny monolog, strumień

świadomości bezimiennego bohatera znalazł oddźwięk wśród milionów młodych mężczyzn na całym świecie i stał się jedną z najbardziej kultowych książek, swoistym Bildungsroman, dla wielu młodych nacjonalistów. (Na marginesie – warto wspomnieć, że David Fincher w swojej ekranizacji całkowicie zmienił zakończenie tej historii. Sam Palahniuk uznał to nowe zakończenie za lepsze (!) i kanoniczne – komiksowy „Fight Club 2” odwołuje się właśnie do tego nowego, filmowego zakończenia. Sam sequel „Fight Club” jest według mnie nieudany i nawet w najlepszych momentach nie dochodzi do poziomu pierwszej części, jednak jest ciekawym uzupełnieniem tej pierwszej książki. Palahniuk pisze w nim między innymi o niezrozumieniu drugiej części przesłania jego powieści przez czytelników, a także o tym, jak debiut negatywnie wpłynął na jego dalszą karierę. I jeszcze na kolejnym marginesie – zawarte w „Fight Club” liczne „ciekawostki techniczne”, na przykład o robieniu napalmu z benzyny i soku pomarańczowego, są nieprawdziwe i z premedytacją zmyślane przez autora.)

Drugą interesującą nas powieścią Palahniuka jest jego ostatnia książka „Adjustment Day”, nieprzetłumaczona na język polski. Palahniuk wprost pisze w niej o tragedii pokolenia millenialsów (czy nawet pokolenia Z) - a konkretnie mężczyzn z tego pokolenia - oraz gra motywami znanymi z ideologicznego dorobku amerykańskich nacjonalistów. W pierwszej części powieści znajdujemy opis współczesnych Stanów Zjednoczonych – dystopii, w której życie pozbawione jest głębszego sensu, a dalsze zwiększanie konsumpcji jest już niemożliwe, przez co całe młode pokolenie wegetuje na marginesie społeczeństwa, pozbawione jakichkolwiek perspektyw na lepszą przyszłość. Amerykański rząd zawiązuje spisek w celu wywołania pozorowanej wojny na Bliskim Wschodzie, przeprowadzenia powszechnego poboru młodych

Amerykanów do wojska, a następnie wymordowania ich za pomocą broni jądrowej. Jednak w międzyczasie młodzi Amerykanie zainspirowani antysystemowym manifestem (nota bene - błędnie spisany) tworzą – poprzez głosowanie w Internecie - „Listę” (czyli po prostu listę proskrypcyjną zawierającą nazwiska najważniejszych przedstawicieli establishmentu), kopią masową groby, a w końcu – gdy nadchodzi tytułowy „Dzień naprawy” - mordują cały amerykański establishment polityczno-ekonomiczno-kulturowy. Co ciekawe, przedstawiciele systemu zostali tutaj przedstawieni jako liberałowie i lewicowcy, a mordujący ich młodzi mężczyźni jako populiści o nacjonalistycznych ciągotach. I o ile obie strony są przedstawione z ironicznym dystansem, nie ma wątpliwości, że gniew młodych Amerykanów jest tutaj całkowicie uzasadniony.

Druga część powieści opisuje Amerykę, która rozpadła się na trzy wielkie strefy. Ta część książki jest słabsza, ale stanowi ostrą i dającą do myślenia krytykę poszczególnych grup etnicznych zamieszkujących Stany Zjednoczone. Pierwszą strefą jest zamieszkaana przez białych Caucasia, w której nastąpił powrót do bardziej tradycyjnego życia – biali Amerykanie uprawiają ziemię i tworzą dziwną rekonstrukcję historyczną, a właściwie jedynym celem ich życia jest płodzenie dzieci. Jednak takie życie wcale nie daje im poczucia spełnienia. Jest to ewidentnie krytyka prostego odrzucenia współczesności. Owszem, współczesny świat jest abominacją i należy go odrzucić, ale nie można po prostu znów zostać rolnikiem i bawić się w średniowiecze. Wielkie odkrycia naukowe, podbój kolejnych kontynentów, a w końcu kosmosu, rozwój technologiczny są częścią tożsamości białego człowieka i prymitywne ich zanegowanie spowoduje załamanie naszej tożsamości. Drugą wielką strefą podzielonej Ameryki jest Blacktopia zamieszkaana przez czarnych Amerykanów. Co ciekawe, w

tej strefie również nie jest używana nowoczesna technologia – okazało się, że czarni Amerykanie posiadają ogromne zdolności umysłowe, a nawet nadprzyrodzone (!), które dopiero teraz – gdy nie są już ograniczani przez białych – mogą w pełni wykorzystać. Zatem nie tylko ich inteligencja osiąga z dnia na dzień nadludzki poziom, ale również samą mocą umysłu potrafią przenosić ogromne ciężary, przemieszczać się i tak dalej. Ze strony Palahniuka jest to po prostu trolling – wyśmiewa popularne wśród liberałów przekonanie o rasizmie, czy to jawnym, czy ukrytym – systemowym, który sprawia, że czarni Amerykanie nie są w stanie rozwinąć swoich „prawdziwych zdolności”. Oczywiście żaden liberalny krytykujący „Adjustment Day” nie powie „Przecież to nonsens!”, bo wtedy stałby się automatycznie rasistą. Trzecią wielką strefą podzielonej Ameryki jest Gaysia, ale to już jest taki poziom absurdu, że powstrzymam się od spoilerów, żeby nie psuć efektu humorystycznego.

Na Palahniuka jeszcze przed publikacją „Adjustment Day” posypały się gromy – wystarczy powiedzieć, że tak poczytny autor miał poważne problemy z wydaniem tej książki. Krytycy i dziennikarze solidarnie przemilczeli, bądź zjechali tę powieść, jednak przyjęcie wśród czytelników, zwłaszcza wśród młodych, zwłaszcza z naszych kręgów, było naprawdę pozytywne. Palahniuk dolewał jeszcze oliwy do ognia: w wywiadach jeszcze mocniej atakował liberalny establishment, bronił młodych białych mężczyzn przed atakami ze strony lewicowych ideologów, czy nawet wspominał, że czyta niesławne *The Daily Stormer*. Establishment ostatecznie przyjął strategię zamknięcia tej powieści. Nie spodziewam się polskiego przekładu w najbliższej przyszłości, jednak wersja anglojęzyczna jest dostępna bez problemu i polecam tę książkę wszystkim czytelnikom „Szturmu”.

Jarosław Ostrognew

Maksymilian Ratajski - Samochodem czy tramwajem?

Niewielu jest ludzi, których każde wystąpienie publiczne wywołuje u mnie salwę śmiechu, jedną z takich osób jest poseł Konfederacji Dobromir Sośnierz. Do napisania tego artykułu skłonił mnie telewizyjny występ politycznego stand-upera, w którym pomysłowy Dobromir pochylił się nad problematyką transportu publicznego i wykluczenia komunikacyjnego. Przypomniała się pewna francuska królowa, która kazała pozbawionym chleba ludziom jeść ciastka.

Nienawiść konserwatywnych liberałów do transportu publicznego wynika w dużej mierze z faktu, iż z definicji jest on niedochodowy. Dopłacają do niego zarówno wielkie miasta jak Warszawa, Kraków, Poznań czy Wrocław, jak i mniejsze ośrodki. Tymczasem prywatni przewoźnicy kursujący busami między dworcem w Przemyślu, a przejściem granicznym w Medyce zarabiają bardzo dobrze, interes kręci się także w Bieszczadach, a FlixBus prowadzi dochodowy interes na dalszych trasach. Jak to możliwe? Obsługa ruchu turystycznego jest bardzo opłacalna, granica, zwłaszcza tak ruchliwa jak w Medyce, również jest żyłą złotą. Prywatne firmy kursują na najbardziej dochodowych liniach, co jest całkowicie zrozumiałe, natomiast ustawowym obowiązkiem samorządów jest zapewnienie transportu mieszkańcom.

Trzecia Rzeczpospolita to państwo programowo się zwijające, wycofujące z prowincji, widać to na wielu polach, transport jest jednym najdobitniejszych przykładów. Obecnie w Polsce mamy około stu miast powyżej 10 tysięcy mieszkańców pozbawionych połączeń kolejowych! W ostatnich latach pociągi wróciły do Lubina (województwo dolnośląskie to

zresztą chlubny przykład tego, że się da), Zamościa i Biłgoraja, w dalszym ciągu nie dojeżdżają jednak do Jastrzębia Zdroju, Siemianowic Śląskich, Mielca, Łomży czy Bełchatowa. Nawet tam gdzie pociągi kursują mamy straszny problem z częstotliwością połączeń, co odbiera kolei pasażerów. Jak wygląda sytuacja w Czechach, Austrii, na Węgrzech czy Słowacji? Otóż w wymienionych państwach łącznie znajduje się 20 miast powyżej 10 tysięcy mieszkańców, do których nie kursują pociągi pasażerskie, również Niemcy w ostatnich latach zainwestowali bardzo dużo w rozwój infrastruktury i siatki połączeń na prowincji.

Podobnie sytuacja ma się z autobusami, od 30 lat mamy do czynienia z likwidacją połączeń, przez co mieszkańcy wsi i małych miast są praktycznie pozbawieni transportu publicznego, aby dostać się z kilkutysięcznych miasteczek do stolicy województwa, potrzeba często kilku przesiadek, a sama podróż trwa kilka godzin (mimo, że na mapie odległość wynosi niewiele ponad sto kilometrów), i nie piszę tutaj o Podlasiu czy Bieszczadach, a okolicach Piły w województwie wielkopolskim! Oczywiście skandalem jest słabe funkcjonowanie transportu publicznego w dużym kraju europejskim, w XXI wieku, niezależnie od regionu, jednak wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni, że pewne problemy kojarzą się bardziej ze ścianą wschodnią, tymczasem, jak widać dotyczą także bogatszych województw na zachodzie.

Kolejne rządy zdawały się nie dostrzegać, że Polska to nie tylko kilka największych miast, a obszar ponad 300 tysięcy kilometrów kwadratowych, dopiero Prawo i Sprawiedliwość dostrzegło istnienie prowincji (choć do realnych działań systemowych droga daleka). Tak zwana „ideowa prawica” żyje wyłącznie Warszawą, Poznaniem, Krakowem, Gdańskiem, Wrocławiem i Katowicami, co sprawia, że nie

rozumie, nie zna, nie dostrzega problemów innych części kraju. Sprawnie funkcjonujący transport publiczny to impuls dla rozwoju regionu, a także konieczność dla jego mieszkańców. Autobus kursujący dwa razy dziennie nie jest żadnym rozwiązaniem, ponieważ siedzenie 10 godzin w mieście powiatowym, dlatego, że pojechało się do lekarza, nie stanowi dla nikogo korzystnej oferty, podobnie poświęcenie całego dnia, aby w niedzielę wrócić z domu rodzinnego do miasta akademickiego.

Dobromir Sośnierz, to nawet jak na korwinistę, niebywały prymityw, showman, który nie potrafi przyjrzeć się problemowi, bo na wszystko zna rozwiązanie, podane wiele lat temu przez mędrca w muszce. Ludzie nie mają dostępu do autobusów? Niech kupią samochody! Nie mają chleba? Niech jedzą ciastka! Ciężko polemizować z sekciarzami, z którymi zbratał się Robert Winnicki, wraz ze swoją partią (nie mogłem sobie darować tej drobnej złośliwości, zresztą uważam, że w tej kwestii wręcz koniecznej, bo kwestie wykluczenia komunikacyjnego są wielce istotne dla wielu członków naszego narodu).

Niedochodowość PKS-ów na prowincji jest dla wszystkich oczywista, zaskoczeniem dla laików może być za to dopłacanie olbrzymich kwot, sięgających kilkudziesięciu procent całego budżetu miejskich przedsiębiorstw komunikacyjnych, przez największe miasta. Przecież autobusy i tramwaje są często przepełnione. Trzeba jednak spojrzeć na miasto jako całość, a nie tylko centrum, galerie handlowe, campusy uniwersyteckie i największe blokowiska. Warszawa to oprócz Śródmieścia także Wesola, Wrocław – Kozanów i Brochów, a w granicach administracyjnych Poznania leżą Radojewo czy Garaszewo. I o ile linie kursujące na najbardziej uczęszczanych szlakach są dochodowe, to do tych peryferyjnych, trzeba dopłacać. Jednak mieszkańcy tych osiedli

płacą w mieście podatki, między innymi na komunikację (za to największej ludności napływowej, nie rozliczającej PIT-u w miejscu faktycznego zamieszkania jest w najlepiej skomunikowanych dzielnicach), co więcej, likwidując w imię korwinizmu-sośnierzizmu niedochodowe linie, okaże się, że nawet te dotychczas zyskowe zaczną przynosić straty, ciężko sobie wyobrazić, że ktoś dojedzie samochodem część drogi, po to, aby później się przesiadać.

Prawica fetyszyzuje samochód, jako wyznacznik statusu, symbol wolności, prywatny środek transportu. Sam posiadam samochód, robię średnio nieco ponad tysiąc kilometrów miesięcznie, natomiast nie mogę się z taką retoryką zgodzić. Obecnie jest to raczej konieczność, aby móc dojeżdżać do pracy, zawozić dzieci do szkoły. Zdaję sobie sprawę, z tego, że prawica reaguje alergicznie na samo słowo ekologia, ale – im więcej będzie jeździć samochodów, tym gorszym powietrzem będziemy wszyscy oddychali, co automatycznie przełoży się na wydatki na służbę zdrowia i ucieczkę ludzi do gmin podmiejskich, z których będą dojeżdżali, a jakże, samochodami. Nietrudno sobie wyobrazić, ile miejsca na drodze zajmuje pięćdziesiąt aut osobowych, a ile jeden autobus. Korki zawdzięczamy zbyt dużemu ruchowi prywatnych pojazdów w mieście.

Zupełnie odmienne stanowisko reprezentuje lewica, a wraz nią prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. Dla nich samochód to zło wcielone i należy zrobić wszystko, aby utrudnić życie kierowcom. Przez zideologizowane działania tęczowego Jacka, nie da się jeździć po centrum stolicy Wielkopolski, oczywiście nie robi on nic, aby zapewnić mieszkańcom optymalną siatkę połączeń, a bilety są astronomicznie drogie. Zanim wypowie się wojnę kierowcom, trzeba sprawić, aby samochód nie był dla mieszkańców koniecznością.

Odpowiadając na pytanie postawione w tytule: Obowiązkiem państwa, oraz władz samorządowych jest zapewnienie obywatelom sprawnie działającego systemu transportu publicznego. W tej kwestii jesteśmy bantustanem, a nie cywilizowanym państwem europejskim. Bierzmy przykład z Czechów, Słowaków, Węgrów, spójrzmy na Niemców, których przecież stać na samochody, i to naprawdę wysokiej klasy. Natomiast walka z samochodami, kiedy nie zapewnia się odpowiedniej jakości transportu zbiorowego to zbrodnia na mieszkańcach. Najpierw niech powstaną nowe linie tramwajowe, na istniejących zwiększy się częstotliwość kursowania, tak, aby pasażerowie nie podróżowali w ścisku, a na peryferyjnych osiedlach zaczną w końcu sensownie kursować autobusy, wtedy mieszkańcy będą mieli powody, aby korzystać z usług MPK. Póki co wielu poznaniaków, warszawiaków czy wrocławian i tak jest zmuszonych do jeżdżenia po mieście samochodem. Również bilety powinny być znacznie tańsze, obecnie ich ceny zniechęcają do podróży (zwłaszcza tak rzadko kursującą komunikacją), ewentualnie sugerują, żeby jeździć na gapę.

Zdaję sobie sprawę, że wyjście poza prosty rachunek ekonomiczny jest dla koliberalnej prawicy zbyt trudne (dla kogoś kto uważa się za geniusza bo umie dodać dwa do dwóch, całki potrójne wydają się lewackim mitem, zresztą nie tylko one, a nawet zwykłe mnożenie, albo dodawanie ułamków lub kilku składników). Transport publiczny się opłaca! To jego sprawne funkcjonowanie stanowi dla przedsiębiorców zachętę do ulokowania zakładu (możliwość dojazdu pracowników), przyczynia się do rozwoju regionu, pozwala mieszkańcom na dojazd do szkoły, korzystanie z dóbr kultury czy służby zdrowia. Interes społeczny jest zdecydowanie ważniejszy od wpływów z biletów. Ale tego Dobromir Sośnierz nie

zrozumie, Korwin o tym nie mówił. Piewcom prywatnych firm przytoczę inny przykład – mam przedsiębiorstwo, które prowadzi określoną działalność, założmy, że posiadam flotę trzydziestu busów, którymi wożę ludzi z Przemyśla do przejścia granicznego w Medyce, moim zyskiem są oczywiście przewozy, jednak, aby je realizować, muszę posiadać księgowość, zapewnić serwis pojazdów, zadbać o ich czystość, to wszystko są koszty (nawet przy outsourcingu), jednak bez poniesienia tych kosztów – nie zarobię na całym interesie.

Maksymilian Ratajski

Antoni Tkaczyk - Marksizm a naród i nacjonalizm

Wstęp

Lewicowe korzenie nacjonalizmu czy sojusze z szeroko pojętą lewą stroną polityczną nie są niczym zaskakującym. Nacjonalizm jakobiński, współpraca Action Française z syndykalistami czy początkowa fascynacja socjalizmem w kręgu późniejszych działaczy Narodowej Demokracji są sprawami powszechnie znanymi. Nawet polskie nurty ściśle socjalistyczne nie były wolne od idei narodowej, szczególnie w okresie walki o niepodległość. Przykładem tu może być Bolesław Limanowski, jeden z głównych teoretyków myśli socjalistycznej, autor swoistej Teorii Narodu, odrzucający marksistowską teorię rewolucji socjalistycznej. W tym artykule chciałbym jednak określić punkt zaczepienia po stronie marksizmu i prześledzić stosunek tej idei do narodu oraz nacjonalizmu.

Marks i Engels

Najwcześniejsze odniesienia do kwestii narodu i nacjonalizmu znaleźć można w Manifeście Komunistycznym, który powstał między listopadem 1847 a styczniem 1848 roku. Głównym problemem jaki porusza w nim Marks jest określenie teorii materializmu historycznego i problemu walki klasowej jako siły napędowej historii. Według autora manifestu klasy społeczne były właściwymi obiektami, na których należy skupić uwagę badając procesy historyczne. Rozwój na poziomach lokalnych i narodowych był tylko częścią tych procesów. Zdaniem Marksa potrzeba stale rosnących rynków spowodowała ekspansję burżuazji na

całym globie, co sprawiło, że narodowe sentymenty stały się mniej istotne. Twierdził on, że „burżuazja przez swoją eksploatację rynku światowego nadała produkcji i konsumpcji wszystkich krajów charakter kosmopolityczny” co doprowadziło do sytuacji, w której „na miejsce dawnej lokalnej i narodowej izolacji oraz samowystarczalności mamy wielostronne stosunki i powszechną współzależność narodów”. Jego zdaniem nieustanny rozwój środków produkcji stopniowo utworzył nową klasę społeczną – proletariatu, którego członków łączy o wiele więcej niż z członkami innych klas w obrębie własnego narodu.

Marks wskazywał jednak, że pomimo tej wspólności „walka proletariatu z burżuazją jest przede wszystkim walką narodową. Proletariat każdego kraju musi naturalnie najpierw rozprawić się ze swoją własną burżuazją”. Tym samym marksizm powinno się określać jako projekt internacjonalistyczny, a nie kosmopolityczny.

Interesującym aspektem jest to, że wielu marksistów uważało samostanowienie narodów za warunek konieczny trwającego procesu walki klasowej. Była to próba zbadania relacji między sentymentami narodowymi a świadomością klasową, daleka jednak od uznania za przekonujące podejście teoretyczne do nacjonalizmu. Istnieją trzy powody dla których Marks i Engels nie odnieśli się rygorystycznie do kwestii nacjonalizmu. Po pierwsze, wczesny marksizm postrzegał nacjonalizm jako odbicie określonego poziomu rozwoju gospodarczego. Po drugie, nie było w marksistowskiej dyscyplinie programowej miejsca na koncepcje nacjonalizmu w długoterminowej wizji społeczeństwa. Po trzecie, marksizm był zbudowany w przekonaniu, że nic nie powinno utrudniać wyzwolenia ludzi jako istot ludzkich.. Późniejsi marksiści zdawali sobie sprawę z nacjonalistycznej luki w swojej teorii i niektórzy z nich próbowali odnosić się do tego problemu.

Karl Kautsky

Według Kautsky'ego, założyciela marksistowskiego pisma „Die neue Zeit”, korzeni nowoczesnych narodów należy szukać w okresie konsolidacji systemu kapitalistycznego. Podstawa dla wspólnoty narodowej powstała dzięki rozwojowi języków narodowych, które ewoluowały z języka kupców. Innym słowy, ponieważ kapitalizm konsoliduje rynki, to oczywista jest potrzeba połączenia w jedno państwo tych, którzy mówią tym samym językiem. Tym samym przedstawiał ograniczone podejście charakterystyczne dla wczesnego marksizmu.

Róża Luksemburg

Luksemburg była przeciwna ustępstwom na rzecz samostanowienia i uważała, że polski przemysł rozwinął się szybciej w Kongresówce, stąd też niepodległość byłaby krokiem wstecz. Według niej, domniemane prawo narodów do samostanowienia było abstrakcyjne lub metafizyczne. Jest to próba dekonstrukcji doktryny nacjonalistycznej i przedstawienia jej jako mrzonki. Idąc dalej, Róża Luksemburg określa poparcie dla prawa do dziedziczenia jako poparcie dla burżuazyjnego nacjonalizmu, ponieważ „naród jako jednolita i homogeniczna jednostka nie istnieje” oraz „każda klasa w narodzie pozostaje w konflikcie praw i interesów”. Uwikłane w model historycznego materializmu, narodowe ruchy wyzwolenicze postrzegano jako ruchy czysto drobnomieszczańskie. Róża Luksemburg całkowicie odrzucała to, że aspiracje narodowe czy narodowowyzwolenicze mogą być także żądaniami mas.

Otton Bauer

Oryginalność podejścia Bauera polega na tym, że zamiast rozpocząć rozważania od kwestii walki klas lub sposobów produkcji, zaczyna swoją analizę od tego, co określa mianem cech narodowych. Definiuje naród jako „ogół istnień ludzkich połączonych wspólnym przeznaczeniem we wspólnotę charakteru”. Według niego wspólnota charakteru, która istniała pomiędzy proletariatem a burżuazją, w każdym narodzie, była przede wszystkim wspólnotą kulturową, a co za tym idzie zupełnie oderwaną od kwestii relacji między proletariatami różnych narodów, które miały charakter więzi etycznych i politycznych. Wspólne doświadczenie historyczne można postrzegać jako wytwór rozwoju gospodarczego. Bauer stworzył zatem schemat autonomii kulturowo-narodowej „kulturowa historia narodu, tak jak dotąd historia klas rządzących, mogła odtąd stać się właściwa dla mas, którym dano by wolność sterowania własnymi cechami narodowymi”. Oznacza to, że „zadaniem międzynarodówki może i powinno być nie zrównanie cech narodowych ale stworzenie międzynarodowej jedności w wielości narodowej”.

Podsumowanie

Analizując wybrane przeze mnie przykłady teoretyków i działaczy marksistowskich, można wyciągnąć wniosek o różnorodności stosunku do narodu i nacjonalizmu na przestrzeni czasu. Wcześni marksiści w żaden sposób nie przedstawili spójnej teorii nacjonalizmu, jedynym wyjątkowym przypadkiem są tutaj prace Ottona Bauera, który faktycznie przedstawia konkretną definicję.

Antoni Tkaczyk

Katarzyna Ślusarz - Kapłani

Dla wielu żołnierzy polskich walczących w czasie II wojny światowej oraz w okresie drugiej konspiracji celem było służyć Bogu i ojczyźnie.

Wystarczy przywołać postaci takie jak Witold Pilecki ps. Witold, czy Łukasz Ciepliński ps. Pług, dla których nieodłącznym elementem w służbie dla Polski była wiara.

Rotmistrz Pilecki znany ze swej pobożności i poświęcenia dla ojczyzny był współautorem odezwy „Do działaczy młodzieżowych”, która była rozpowszechniana przez rotmistrza Pileckiego pod koniec 1946 r. i na początku 1947 r. Zdjęcie tego dokumentu znalazło się wśród 71 klisz, które Rotmistrz wysłał do II Korpusu Andersa. Na uwagę zasługuje religijny charakter tej odezwy, według której młodzież należy wychowywać w duchu katolickim i narodowym.

Łukasz Ciepliński, dowódca IV Zarządu Głównego WiN również żył sławiąc imię Boga i ceniąc sobie ojczyznę. Wiedząc, że nadchodzi jego koniec, tak pisał do swej żony: *Wisiu, siedzę w celi śmierci. **Śmierci nie boję się zupełnie. Żal mi tylko Was, sieroty moje najdroższe** (...). Wiem, że myślą, sercem i modlitwą jesteś stale przy mnie. ODCZUWAM TO. Widzę wówczas Twoją zboląłą buzię na procesie. Ty znasz mnie najlepiej, **dlatego musiałaś boleć słysząc te kłamliwe, prowokacyjne i krzywdzące mnie zarzuty.** Bądź Wisiu dzielna. **Przejdź nad cierpieniem z godnością i spokojem i wiarą w sprawiedliwość Bożą. Tylko nam ona została. Cel Twój i zadanie to Andrzejek i wierzę, że go wychowasz na***

człowieka, na Polaka i na katolika, że przekazesz mu swoje wartości duchowe i silnie zwiążesz ze mną i ideą, dla której żyłem.

Trzeba tu jednak wspomnieć także kapłanów, którzy byli w tym trudnym czasie podporą moralną żołnierzy. Jako kapelani polowi sprawowali msze dla oddziałów leśnych, głosili z ambony poparcie i agitację dla walczących rodaków. Wiązało się to jednak z ryzykiem, zarówno ze strony okupantów w czasie wojny, jak i dla służb komunistycznej Polski.

Ich poświęcenie i wsparcie przypłacali niejednokrotnie torturami, a nawet życiem.

Rejon świętokrzyski w okresie wojny i po jej zakończeniu krył w swoich lasach bardzo liczne grupy partyzanckie. Również kapłani czynnie udzielali się, wspierając walczące oddziały.

Na uwagę zasługuje postać księdza Stanisława Domańskiego, proboszcza parafii w Siennie w obecnym województwie mazowieckim.

Stanisław Domański urodził się 10 maja 1914 roku. Urodził się w rodzinie rolniczej w Strzyżowicach, wiosce niedaleko od Opatowa nieopodal Gór Świętokrzyskich.

Młody Stanisław wychowywany był w atmosferze pobożności i patriotyzmu. Uwielbiał podróżować po górach, uprawiał sport, był bardzo aktywny i przyjacielski. Działał w Związku Harcerstwa Polskiego.

Postanowił zostać księdzem za sprawą dyrektora Gimnazjum Koedukacyjnego im. Bartosza Głowackiego w Opatowie, charyzmatycznego księdza Antoniego Prugela.

W 1934 roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu. Po ukończeniu Seminarium został wikariuszem kościoła pw. św. Zygmunta w Siennie. Parafianie szybko przekonali się do nowego proboszcza, który okazał się być aktywnym społecznikiem, włączającym się do życia lokalnej wspólnoty. Słynął z doskonałych kazań, często nawiązujących do spraw politycznych kraju. II wojna światowa sprawiła, że nawołujący rodaków do oporu przed okupantem ksiądz Stanisław stał się duchowym przywódcą okolicznych mieszkańców.

Z czasem Domański zaczął również uczestniczyć w działaniach konspiracyjnych. Od roku 1941 był kapelanem Związku Walki Zbrojnej, to pod jego okiem zaprzysięgani byli nowi członkowie ZWZ-AK. Ksiądz Stanisław widywany był na Wykusie wśród żołnierzy Ponurego, zajmował się rozpowszechnianiem antynazistowskich ulotek, nasłuchem radiowym, aprowizacją leśnych oddziałów, roznoszeniem tajnej korespondencji, ukrywaniem osób poszukiwanych przez gestapo oraz ewidencjonowaniem aresztowanych, zaginionych i pomordowanych duszpasterzy. W lipcu 1944 roku mianowano go kapelanem wszystkich jednostek AK w obwodzie ilżeckim. Podczas akcji "Burza" przebywał z 1. Batalionem 3. Pułku Piechoty Legionów Armii Krajowej. Jesienią 1944 roku odznaczono go Krzyżem Walecznych.

Ksiądz Stanisław Domański, podobnie jak wielu Polaków nie wierzył w uczciwe zamiary Armii Czerwonej, wiedział, co niesie ze sobą reżim

komunistyczny. Nie szczędził też słów ostrzegawczych swoim parafianom podczas kazań.

Nie mogąc znieść szerzącej się po kraju „czerwonej zarazy” wstąpił do organizacji „NIE”, antykomunistycznej struktury zarządzanej przez generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Kilka miesięcy później stworzyła własne ugrupowanie uważane za wchodzące w struktury ROAK, liczące około czterdziestu osób, którego członkowie wiedli podwójny żywot. Posiadali stałe miejsca zamieszkania i byli zwyczajnymi obywatelami, jednak systematycznie prowadzili działania przeciwko komunistycznemu reżimowi. Domański pozostawał także w kontakcie ze Zrzeszeniem „WiN”.

Ksiądz Stanisław, jako dowódca, ale i kapłan posługiwał się jedynie słowem. Działaniami zbrojnymi dowodził kapral Jan Wiśniewski „Sęp”, a wszystkie akcje przeprowadzano w duchu chrześcijańskiego miłosierdzia, oszczędzając życie przeciwników. W czasie akcji rozbrojono kilka posterunków milicji, uprawiano propagandę, w której padało m.in. hasło „Śmierć komunie!”.

Coraz to bardziej płomienne kazania księdza Domańskiego przeciwko komunie sprawiły, że komunistyczna agentura postanowiła zająć się niewygodnym kapłanem. W Sylwestra 1945 roku Domański wygłosił kazanie, które przelało szalę jego losu. Padły słowa: *Daj nam, Boże, Polskę nie białą, nie czerwoną, tylko biało-czerwoną, a nad nią Orzeł Biały w koronie i Krzyż!*

W nocy z 9 na 10 marca 1946 roku Domański i jego dwaj żołnierze, Józef Cielecki i Stanisław Dmuchalski, zebrani w domu Franciszka

Stefańskiego w Eugeniowie zostali zaskoczeni przez 25-30 funkcjonariuszy UB i MO. Rozegrała się kilkugodzinna walka. Zginął Dmuchalski, ks. Domański został ranny, mężczyźni poddali się pod groźbą spalenia domu przez UB.

W budynku spółdzielni gminnej w Siennie brutalnie skatowano Domańskiego, a następnie przewieziono do starachowickiego szpitala. Zmarł 10 marca 1946 roku w wyniku odniesionych ran.

Ksiądz Stanisław Domański nie był niestety jedynym zamęczonym księdzem w powiecie iłżeckim w marcu 1946 roku. Kilka dni po śmierci Domańskiego zamordowano młodego proboszcza Pętkowic, Jana Trojnara.

Urodził się 17 sierpnia 1907 roku. Pochodził on ze wsi Smolarzyny niedaleko Łańcuta z ubogiej rodziny rolniczej. Młody Trojnar wyemigrował do Sandomierza, gdzie ukończył zaliczył gimnazjum i Wyższe Seminarium Duchowne. Świecenia kapłańskie otrzymał 2 czerwca 1935 roku, a następnie pełnił funkcję wikariusza w sześciu prowincjonalnych parafiach. W sierpniu 1945 roku otrzymał posadę proboszcza w miejscowości Pętkowice.

Był proboszczem prostodusznym, nie udzielał się politycznie, zamiast tego ciężko pracował.

14 marca 1946 roku do budynku plebanii w Pętkowicach wkroczyli według świadków czterej umundurowani funkcjonariusze UB.

Zeznania świadków wydarzenia brzmią: (...) *Uprzejmie komunikuję, iż dnia 14 marca 1946 r., między godziną 18.00 a 20.00 został*

zamordowany ks. Jan Trojnar w Pętkowicach przez czterech uzbrojonych złoczyńców w mundurach wojskowych. Około godziny 18.00, gdy proboszcz ks. Trojnar miał 3 parafian i pisał z nimi umowę, weszło czterech uzbrojonych do mieszkania. Dwóch z karabinami, a dwóch z rewolwerami. Odwołali księdza do kuchni i zażądali 20 tysięcy złotych. A gdy ten nie mógł im tego dać, lecz dał co posiadał. Usunęli tych trzech interesantów do drugiego pokoju. Kazali im się położyć na podłodze, przykryli różnymi nakryciami i kazali leżeć (...), pytali się księdza, do jakiej partii należy i jednocześnie zaczęli bić księdza. (...) zbitego księdza krzeselkami i zakrwawionego wyprowadzili do zabudowań gospodarczych, gdzie miał widocznie część pieniędzy. A później znów bili i kazali się myć z krwi i owijać głowę ręcznikiem. Słysząc było często słowa księdza: 'nigdy' (...) Zbitego i prawdopodobnie omdlałego księdza na podłodze zastrzelono 2 strzałami w tył głowy. Jeden strzał z karabinu rosyjskiego, drugi z rewolweru. Zwłoki z wyrwanym mózgiem i rozbitą czaszką leżą na podłodze, bo milicja nie kazała ruszać do przyjazdu komisji. (...) Do wczoraj 17 marca wieczorem nie było jeszcze komisji i zwłoki leżą. Terminu pogrzebu ks. Dziekan nie określił (...).

Zwłoki skatowanego młodego proboszcza przez tydzień leżały na miejscu zbrodni. Jego ciała nie złożono na cmentarzu w Pętkowicach, ale w Ostrowcu Św. Władze komunistyczne zagroziły, że jeżeli kapłan spocznie w Pętkowicach, jego grób zostanie wysadzony.

Pogłoski o śmierci ks. Trojnara podają, że padł ofiarą nienawiści dla kościoła katolickiego i jego obstawania przeciwko władzom komunistycznym.

W 1947 roku Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Kielcach umorzyła postępowanie przeciwko osobom podejrzanym o zabójstwo ks. Jana Trojnara. Jego oprawcy nigdy nie odpowiedzieli za ten bestialski i niczym nieusprawiedliwiony mord.

Następcą Trojnara był ks. Julian Banaś, wikariusz z Bałtowa. Również jego którejś nocy odwiedziła grupa mężczyzn. Jeden z nich wszedł do budynku parafialnego, pozostali czekali na zewnątrz. Legenda głosi, że przebywającym na podwórzu ukazał się ks. Jan Trojnar, który zwrócił się do nich słowami: *Czy jeden wam nie wystarczy?*

Przerażeni mężczyźni uciekli nie robiąc nowemu proboszczowi krzywdy.

O osobie ks. Jana Trojnara zapomniano na ponad pół wieku. Jedynie jego rodzina, przyjaciele i najwierniejsi parafianie pielęgnowali pamięć o nim. Dziś badaniem życia i zagadkowej śmierci młodego proboszcza zajmują się duchowny rzymskokatolicki Janusz Bachurski i historyk Grzegorz Sado. W miejscu budynku starej plebanii, gdzie zamęczono ks. Trojnara, stoi od 2005 roku pomnik z tablicą pamiątkową.

W listopadzie 2018 roku Stowarzyszenie Ostrowieccy Patrioci zorganizowało zbiórkę na nowy pomnik nagrobny dla ks. Trojnara, w kwietniu 2019 r. nowy pomnik został postawiony.

Obaj księża Domański i Trojnar są dziś uznawani za męczenników, którzy zginęli za wiarę w Boga i w Polskę. Warto przytaczać ich postaci jako przykład tego, jak komunizm zwalczał, a i nawet teraz w dobie szkalowania kościoła i postaw patriotycznych piętnuje najważniejsze wartości.

Katarzyna Ślusarz

Norbert Wasik - Rola organizacji pozarządowych w społeczeństwie obywatelskim

Demokratyzm (nie mylić z demokracją liberalną) niewątpliwie zainspirował powstanie nacjonalizmu na ziemiach polskich. Wśród osób tworzących nowoczesny obóz nacjonalistyczny w Polsce w oparciu o ludowy demokratyzm najważniejszą rolę odegrały trzy postacie: Jan Ludwik Popławski, Roman Dmowski i Zygmunt Balicki. W swoich tezach z zarania polskiego nacjonalizmu jego twórcy dowodzili, że bez wizji demokratyzacji społecznej stworzenie nacjonalistycznych koncepcji nowoczesnego Narodu nie jest możliwe. W oparciu o wczesną publicystykę Popławskiego, Dmowskiego i Balickiego śmiało pokusić się można o ważną konkluzję stwierdzającą, że demokratyzm stanowił swoistą platformę ideową niezbędną dla rozwoju polskiego nacjonalizmu¹. Jak to wygląda dzisiaj chociażby spoglądając przez pryzmat budowania alternatywnego społeczeństwa obywatelskiego przez współczesnych nacjonalistów, wszyscy widzimy. Czy swoista miałość w wykorzystywaniu w działalności organizacji pozarządowych wynika z przesłanki braku w naszym środowisku elementarnej wiedzy na temat znaczenia i roli ww. organizacji, ciężko jednoznacznie stwierdzić. Niemniej właśnie z tego, a nie innego powodu powstał poniższy tekst dotyczący roli organizacji pozarządowych w społeczeństwie obywatelskim.

Wstęp

Rozważając problematykę dotyczącą roli organizacji pozarządowych w społeczeństwie obywatelskim należałoby, gwoli wstępu, wyjaśnić samo pojęcie organizacji pozarządowych.

Nazwa ta jest przeniesieniem do języka polskiego, z języka angielskiego słów „*non – governmental organization*”. Dlatego często, również i w Polsce, używa się angielskiego skrótu NGO. W naszym kraju przez organizacje pozarządowe rozumie się w głównej mierze stowarzyszenia i fundacje. Ustawa z dnia 24 kwietnia 2003 roku o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie² (Dz.U.2016.1817 t.j.) wprowadziła rozszerzoną definicję organizacji pozarządowej. Zgodnie bowiem z powyższym aktem, reguluje on zasady prowadzenia działalności pożytku publicznego przez organizacje pozarządowe w sferze zadań publicznych, współpracy organów administracji publicznej z organizacjami pozarządowymi oraz współpracy, o której mowa w art. 4d ustawy³. Innymi słowy, poprzez organizacje pozarządowe należy rozumieć podmioty prowadzące działalność pożytku publicznego.

Podkreślenia wymaga, że organizacje pożytku publicznego winny z założenia działać na rzecz wybranego interesu, jednakże nie w celu osiągnięcia zysku. Należy również zauważyć, że nie można utożsamiać pojęcia organizacji pozarządowej z pojęciem organizacji społecznej, np. ze związkiem zawodowym, który wprawdzie jest organizacją społeczną, lecz nie jest organizacją pozarządową.

Organizacje pozarządowe bywają często nazywane tzw. **trzecim sektorem**, funkcjonującym niezależnie obok sektora publicznego, tj. władzy, czy administracji publicznej i sektora rynkowego, tj. przedsiębiorców.

Rys początków powstania organizacji pozarządowych

Organizacje pozarządowe swoimi korzeniami sięgają starożytności. Już wówczas społeczności lokalne dostrzegały potrzeby niesienia bezinteresownej pomocy i wsparcia danej wspólnoty. Przykładem może być starożytna Grecja, gdzie działalnością filantropijną zajmowały się prywatne osoby, jak również miasta-państwa, otaczając opieką chociażby inwalidów wojennych oraz wypłacając im dzienny zasiłek. To tam powstał specjalny urząd tzw. „*sitesis*”, który zajmował się wydawaniem posiłków ubogim obywatelom, którzy pełnili funkcje urzędowe⁴.

Także starożytny Rzym „prowadził” organizacje o charakterze bezzwrotnej pomocy. Funkcjonowały bowiem tam tzw. „*frumentationes*”, zajmujące się bezpłatnym rozdawnictwem zboża, czy „*congiarium*”, które trudniły się rozdawnictwem wina i oliwy oraz „*clientela*”, polegająca na tym, że bogaty mieszkaniec Rzymu obejmował opieką ubogich obywateli i wspierał ich odzieżą, żywnością i pieniędzem.

Największa jednak zorganizowana pomoc ze strony jednych ludzi wobec innych nastąpiła wraz z pojawieniem się chrześcijaństwa. Misją gminy chrześcijańskiej było bowiem niesienie pomocy potrzebującym i w tym celu utworzona została instytucja o nazwie „*diakonia*”, która zajmowała się codziennym rozdawaniem jałmużny⁵.

Krótką historia organizacji pozarządowych w Polsce

Początki powstawania i rozwoju organizacji pozarządowych w Polsce nie mają tak odległej historii, jak obecne Włochy czy Grecja, których korzenie sięgają starożytności, niemniej jednak nie są one również stosunkowo nowe.

Halszka-Kurleto wyróżnia w naszej historii NGO, kilka zasadniczych okresów⁶. Do pierwszego z nich zaliczyć należy okres od XI wieku do roku 1795, kiedy to powstały pierwsze instytucje dobroczynne (XI wiek - wraz z

rozwojem administracji kościelnej powstawały zgromadzenia zakonne, klasztory, szpitale przyklasztorne, których zadaniem było sprawowanie opieki nad potrzebującymi), poprzez kasy samopomocowe w górnictwie, powstawanie szpitali i przytułków (XV – XVI wiek), aż do powstawania instytucji o charakterze dobroczynnym, mające za cel przeciwdziałać nędzy (XVIII wiek).

Kolejny okres należy datować na lata 1795-1918, gdy to funkcjonowała ożywiona działalność filantropijna związana m.in. z utratą suwerenności przez nasz kraj, ale również pomoc niesiona przez zaborcę ubogim.

Przykładem może być Cesarstwo Austro-Węgierskie, na terenie którego istniał obowiązek udzielania takiej pomocy przez gminę najuboższym. W głównej mierze jednak pomoc najsłabszym była niesiona ze strony osób prywatnych.

Lata 1918-1939 to z kolei wysyp organizacji filantropijnych. To w tym czasie uregulowano pierwszy raz w Polsce, w sposób prawny, funkcjonowanie fundacji oraz stowarzyszeń, chociażby poprzez uchwalenie 16 sierpnia 1923 r. ustawy o opiece społecznej⁷, którą objęto np. dzieci, młodzież, macierzyństwo, osoby starsze, kaleki, czy inwalidów.

Po wydarzeniach okresu II wojny światowej (kiedy jedynie funkcjonował Polski Czerwony Krzyż), tj. w okresie od 1945 do czasu kolejnych transformacji, których początki miały miejsce w roku 1989, to państwo było głównym podmiotem polityki społecznej. Począwszy od drugiej połowy lat 40-tych zaczął się proces systematycznej likwidacji niezależnych instytucji i organizacji społecznych. Wszystkie fundacje zostały rozwiązane, a stowarzyszenia działały pod kontrolą władz. Państwo przejęło kontrolę nad życiem gospodarczym i społecznym, a więc nad oświatą, zdrowiem, opieką społeczną.

Odwilż roku 1989 w Polsce oraz szereg zmian w latach 90-tych ubiegłego wieku zmierzający, do ponownej demokratyzacji spowodował podjęcie także działań mających na celu odbudowę różnego rodzaju form pomocy i dobroczynności. Stopniowo wzrastała liczba organizacji *non profit*. Odradzające się organizacje pozarządowe przyczyniły się do zmniejszenia luki w zaspakajaniu potrzeb socjalnych, która powstała w wyniku ograniczenia opiekuńczej funkcji państwa. Podjęto szereg działań w celu uprawomocnienia funkcjonowania organizacji pozarządowych. W roku 1989 uchwalono ustawę o stowarzyszeniach, a w 2003 o działalności pożytku publicznego i wolontariacie.

Rola organizacji pozarządowych w społeczeństwie obywatelskim

Podejmując się wyjaśnienia zagadnienia dotyczącego roli organizacji pozarządowych w społeczeństwie obywatelskim należałoby na samym wstępie zdefiniować pojęcie społeczeństwa obywatelskiego i społeczeństwa jako takiego.

Słownik języka polskiego PWN definiuje społeczeństwo obywatelskie jako ideę określającą szczególną strukturę działań, więzi społeczno-kulturowych i przekonań moralno-politycznych, jaką w poczuciu samodecydowania o sobie, odpowiedzialnej troski za dobro wspólne oraz jakość życia publicznego stworzyli członkowie określonego społeczeństwa⁸. Z kolei społeczeństwo według słownika, to ogół ludzi pozostających we wzajemnych stosunkach wynikających z warunków życia, podziału pracy i udziału w życiu kulturalnym; ale także ogół obywateli danego okręgu, miasta, itp.⁹.

W społeczeństwach wysoce rozwiniętych, należących do tzw. świata kultury zachodniej demokracja w teorii oznacza rządy większości, gdzie

preferencje ogółu bywają po stronie tej większości. Zawsze jednak pozostaje mniejszość, która z reguły nie jest reprezentowana w organach władzy, czy to ustawodawczej, czy też wykonawczej. Tym samym, tym niereprezentowanym w danym okresie władzy mniejszościom, pozostaje własne zabieganie o usłyszenie tzw. ich głosu w dyskusji, czy artykułowanie potrzeb. Zadanie to wypełniają między innymi wszelkiego rodzaju organizacje pozarządowe.

Obserwując życie społeczne w Polsce można śmiało stwierdzić, że tzw. NGO-sy, zajmują się w głównej mierze zaspakajaniem potrzeb indywidualnych i społecznych w małej grupie, w szczególnej atmosferze życzliwości i solidarności. Nie pozostają one obojętne wobec ludzkich spraw, wykonując zadania w poczuciu solidarności i powszechnego dobra.

W Polsce aktualnie zarejestrowanych jest ponad 17,5 tysiąca różnego rodzaju fundacji i stowarzyszeń, należących do tzw. III sektora, który nie jest nastawiony na zysk, a na wypełnienie luk tam, gdzie pomoc państwa z różnych względów jest niemożliwa, lub trudna do zrealizowania¹⁰.

Włączanie tych organizacji do realizacji zadań państwa, poprzez różnego rodzaju wsparcia i pomoc staje się bardzo ważnym i pożądanym modelem współpracy na linii Państwo – NGO-sy.

Organizacje pozarządowe działają w Polsce w głównej mierze na polu społecznym, zajmując się świadczeniem usług w ramach szeroko rozumianej polityki socjalnej. Obejmują swoim zasięgiem różne grupy ludzi oraz dziedziny, jak chociażby zdrowie, kulturę, sport, czy oświatę¹¹. Samo tworzenie różnego rodzaju organizacji pozarządowych bywa zawsze wyrazem woli ludzkiej. Pewnej grupy ludzi z pomysłami, chęcią ich realizacji w ramach wyznaczonych sobie celów. Jednoczących się wokół określonego problemu lub zaistniałej potrzeby. Tą potrzebą może być przykładowo zaspokajanie zainteresowań należących do niej członków, w

szerszym zaś znaczeniu może nią być zaspokajanie potrzeb większego grona osób, nawet spoza członków danej organizacji, np. całej społeczności lokalnej.

Zauważyć należy, że w dobie tzw. komunizmu (choć w przypadku Polski właściwszym określeniem byłoby sformułowanie „w czasach *realnego socjalizmu*”), wszelkie przejawy życia „pozapaństwowego” były często odbierane jako jawny atak na „wartości” PRL-u, gdyż to państwo „realizowało” wszelkie potrzeby społeczeństwa i tylko nieliczny odsetek spraw mógł być zarezerwowany dla jednostek, czy nadzorowanych organizacji. Dopiero odwilż, jaka nastąpiła po roku 1989, stworzyła warunki i podwaliny pod rozwój i powstawanie organizacji pozarządowych (uchwalenie między innymi ustawy z dnia 7 kwietnia 1989 roku *Prawo o stowarzyszeniach*, czy ustawy z dnia 24 kwietnia 2003 roku o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie). Spowodowała ona również chęć i wolę społeczeństwa w angażowanie się w wszelkiego rodzaju przedsięwzięcia pozapaństwowe, organizowane w zdecydowanej mierze w skali lokalnej i w oparciu o własne zasoby, w tym przede wszystkim ludzkie.

Niczym nieskrępowane już działania lokalnych społeczności, pozwalały ludziom na odkrywanie szeregu nowych umiejętności, twórczego myślenia i własnego rozwoju. Pobudzały do działania i stawały się motorami napędowymi dalszych przemian społecznych. To z różnych organizacji pozarządowych, nierzadko rodzili się i rodzą liderzy, z kolei z których wyrastają działacze, przywódcy o zasięgu ogólnokrajowym, czy nawet międzynarodowym. Członkowie NGO-sów, w tych właśnie organizacjach, uczą się wielu przydatnych (jak się później okazuje), niezbędnych i koniecznych rzeczy. Nabywają umiejętności i wiedzę. Są przejawem samoorganizowania się społeczności. Wnoszą nowe wartości, niezwykle korzystne z punktu widzenia wymogów stawianych

rozwiązaniom stosowanym w strefach będących domeną lokalnej polityki społecznej. Pełnią duże znaczenie w realizacji zadań na rzecz różnych grup społecznych. Nie nastawiając się na osiągnięcie zysku, wypełniają lukę w dostarczaniu obywatelom usług w tych sferach, które nie są wykonywane, lub są wykonywane w sposób niewystarczający, chociażby przez sektor publiczny czy prywatny. Często ze względu na swoją bogatą wiedzę o potrzebach i problemach swoich członków oraz dzięki praktycznym doświadczeniom wynikającym z codziennych kontaktów, są bardzo ważnymi partnerami władz samorządowych i rządowych w kreowaniu i realizowaniu polityki zaspakajania potrzeb na rzecz różnych grup społecznych.

Organizacje pozarządowe są prawdziwym przejawem społecznego obywatelskiego. Wydaje się, że państwo daje im prawo i możliwości dowolnego (aczkolwiek legalnego i zgodnego z obowiązującym ustawodawstwem) kształtowania danej organizacji pozarządowej. Między innymi jej formy, zadań, czy celu jaki sobie zakłada. Można stwierdzić, że organizacje *non profit* organizacyjnie są mikro namiastkami organów publicznych, czy samorządowych. Posiadają bowiem z reguły swoje struktury, na czele których zawsze ktoś stoi i im przewodniczy. Siedzibę i statut, wyrażający cel oraz środki do dyspozycji na realizację zadań, pochodzące z różnych, legalnych źródeł. Taki stan rzeczy jest niczym innym jak przejawem systemu, w którym każda jednostka, czy podmiot jest ważny i ma prawo do swobodnego wyrażania swoich myśli i poglądów oraz ich manifestowania (niestety prawa nacjonalistów są tu często ograniczane). Organizacje pozarządowe mają tym samym istotny wpływ na kształtowanie się społeczeństwa obywatelskiego, będąc przejawem aktywności społecznej, która może być przyczynkiem do wielu zmian chociażby o zasięgu ogólnokrajowym.

Patrząc przez pryzmat wielu zadań, jakie wykonują poszczególnego rodzaju organizacje pozarządowe, a szczególnie te które za cel obrały sobie obserwowanie działań władzy, należy jednoznacznie stwierdzić, że odgrywają one ogromną rolę w życiu społeczeństwa. Swoje zadania w tym zakresie wykonują poprzez udzielanie ludziom (społeczeństwu) informacji o sposobie zarządzania krajem. Komunikują się często z politykami i rządzącymi w imieniu grup społecznych. Upewniają się, że rządzący nie nadużywają władzy. Zadają często szereg pytań. Są istotnymi ogniwami w uświadamianiu społeczeństwa, co robi rząd, władza samorządowa i jakie z tego mogą wyniknąć konsekwencje dla niego – tj. obywatela. Informują opinię publiczną o wszelkiego rodzaju nieprawidłowościach władzy, pomagając wyrobić im własną opinię w danym zakresie¹³. Często są również tubą poglądów osób przez nie reprezentowanych, na przykład niepełnosprawnych, starszych, czy też tych którzy nie zgadzają się z pewnymi założeniami politycznymi, czy społecznymi, np. z energetyką jądrową¹⁴. Wiele organizacji pozarządowych w ramach swoich uprawnień przypomina politykom ich obietnice wyborcze i staje się prekursorem zmian. Korzystając chociażby z inicjatywy ustawodawczej, są one częstokroć inicjatorami zmian w prawie, czy wprowadzania nowych rozwiązań. Organizują w tym zakresie między innymi zbiórki podpisów pod daną inicjatywą ustawodawczą (inną kwestią pozostaje co politycy z tym dalej robią). NGO-sy starają się także zadbać o to, aby rządy nie łamały obietnic, które są zawarte w konstytucjach, ustawach krajowych lub w traktatach międzynarodowych. Jako przykład posłużyć tutaj mogą działania takich organizacji w celu ochrony środowiska, sprawiedliwego wynagrodzenia pracowników, czy wolności słowa (tu niestety znów często odmawianego nacjonalistom). Działają one, aby upewnić się, że rządy przestrzegają zobowiązań,

pomagają chronić interes publiczny, a nie swój własny i partykularne interesy jednostek.

Wartym podkreślenia niewątpliwie jest również rola organizacji pozarządowych w przypadku łamania prawa. Podejmują one bowiem w takich wypadkach kroki mające zapobiegać tego rodzaju przejawom nadużyć i łamania ustanowionych praw, w tym wynikających z Konstytucji i ustaw¹⁵. Działania NGO-sów rozbudzają również postawy prospołeczne, aktywizują społeczeństwa, począwszy od inspirowania do dbałość o najbliższe otoczenie, po dostrzeganie potrzeb ogólnych społeczności lokalnej lub danej grupy, czy indywidualnego obywatela. Organizacje społeczne, co można bardzo często zobaczyć lub usłyszeć w różnego rodzaju środkach masowego przekazu, starają się stanowić swoistego rodzaju funkcję nacisku na rządzących, związaną z obroną podstawowych wartości, takich jak wolności, czy poszanowanie wspólnego dobra. Często zatem wywierają presję na władze lokalne, rządy i parlamenty w celu rozwiązywania i przeciwdziałania niekorzystnym zjawiskom życia społecznego.

Na świecie NGO-sy, działają często jako preżne organizacje, odgrywając dzisiaj znaczącą rolę, chociażby w zakresie ochrony środowiska naturalnego, czy przestrzegania praw najbiedniejszych.

Podsumowanie

Reasumując powyższe rozważania, należy stwierdzić, że rola jaka przypadła organizacjom pozarządowym w życiu społeczeństwa i Narodu sprowadza się w głównej mierze do dwóch funkcji, a mianowicie: opiekuńczej (występującej w przypadku wykonywania zadań mających zapłacić lukę w systemie państwowym, chociażby na polu usług zdrowotnych) oraz wychowawczo-kontrolnej, przejawiającej się m.in.

tw. „*patrzeniem władzy na ręce*”, czyli krótko pisząc nadzorem rządzących. Śmiało jednak można stwierdzić, że organizacje pozarządowe stanowią doskonałe uzupełnienie działalności państwa, wszędzie tam, gdzie jego pomoc nie dociera lub jest jeszcze zbyt mała. Czy jako nacjonaści – w myśl maksymy, że to my mamy być panami formy, a nie odwrotnie – będziemy potrafili dzisiaj skutecznie zagospodarować ten sektor pozostaje dla nas wciąż otwartą kwestią... **Myśl i czyn!**

Norbert Wasik – dumny mąż i ojciec. Absolwent Kolegium Jagiellońskiego - Toruńskiej Szkoły Wyższej. Manager związany z sektorem FMCG. Publicysta, działacz społeczny i narodowo-radykalny. Biegacz amator i fan długich dystansów, pasjonat historii, gór, górali i góralszczyzny. Idealista, romantyk i pragmatyk w jednej osobie, entuzjasta innowacji i nowych technologii.

BIBLIOGRAFIA:

Nikodem Bończa-Tomaszewski, Demokratyczna geneza nacjonalizmu. Intelktualne korzenie ruchu narodowo-demokratycznego, Nikodem, Warszawa 2001.

Dz.U.2016.1817 t.j.

Ibidem, art. 1 ust. 1 pkt. 1

M. Halszka-Kurleto, Organizacje pozarządowe w działalności pożytku publicznego, LexisNexsis, Warszawa 2008, s. 15

Ibidem, s. 15-16

Ibidem, s. 25-36

Dz.U.1923.92.726

www.sjp.pwn.pl [on-line]. Społeczeństwo obywatelskie. Dostęp w World Wide Web:

<https://sjp.pwn.pl/szukaj/spo%C5%82ecze%C5%84stwo%20obywatelskie.html>

www.sjp.pwn.pl [on-line]. Społeczeństwo. Dostęp w World Wide Web:

<https://sjp.pwn.pl/szukaj/spo%C5%82ecze%C5%84stwo.html>

www.biurose.sejm.gov.pl [on-line]. Teksty. Informacja nr 232. Dostęp w

World Wide Web: http://biurose.sejm.gov.pl/teksty_pdf_94/i-232.pdf

Ibidem, s. 2.

<http://znze.wsiz.rzeszow.pl> [on-line]. Michał Tyrakowski, Rola

organizacji pozarządowych w rozwiązywaniu problemów społecznych.

Dostęp w World Wide Web:

http://znze.wsiz.rzeszow.pl/z04/9_Michal_Tyrakowski_Rola.pdf

Ibidem.

Ibidem.

Oleś Wawrzkowicz - *Sacrum bellum, bellum iustum*. Antyczna wzorce cywilizacyjno-kulturowe oraz rzymskie pojęcie wojny sprawiedliwej i służba chrześcijan w *exercitus Romanus* jako fundament etosu europejskich narodów

Je suis Romain, je suis humain: deux propositions identiques.

Antyczny Rzym był miejscem starcia dwóch skrajnie różnych systemów wartości etycznej oraz religijnej, z jednej strony wierzeń i systemu wartości starożytnego Rzymu, wobec którego w opozycji stała druga (rodząca się jeszcze) religia, czyli chrześcijaństwo. Wierzenia rzymskie skupiały w sobie pierwotną religię praindoeuropejską, religię plemion staroitalskich oraz elementy wierzeń etruskich. Jest to religia politeistyczna, wiążąca się z wiarą w wielu bogów. To właśnie w mocno zakorzenionym politeizmie i silnie ugruntowanym, choć zmiennym, rzymskim kanonie wartości zostało zasiane ziarno monoteistycznego *Christianitas*. Fascynacje antykiem, były obecne w społeczeństwach Europy przez szereg wieków. Co ciekawe samo pojęcie tytułowej wojny sprawiedliwej (*bellum iustum*) wytworzone przez pogański Rzym, stało się w przyszłości legitymizacją stosowania przemocy dla chrześcijańskich rycerzy i jak i podstawą usprawiedliwiająca wiele późniejszych wojen, które w pełni objawiło się w trakcie wypraw krzyżowych oraz krucjat północnych. Do spuścizny antycznego Rzymu z chęcią odwoływały się europejskie ruchy nacjonalistyczne, a szczególnie włoski faszyzm Benito Mussoliniego, który w pewnym stopniu wskrzesił tradycje imperialnej przeszłości Rzymu, zaszczepiając system wartości, który starożytni Rzymianie

uważali za kanon stanowiący podstawę postępowania każdego prawego i świadomego Rzymianina.

Postępowanie Rzymian było ściśle związane z wiarą w bogów. *Pietas*, czyli pobożność była jednym z filarów kanonu wartości, których przestrzeganie było wymogiem życia społecznego starożytnego Rzymu. System społecznego funkcjonowania Rzymian składał się na *mos maiorum*, czyli obyczajach przodków, które wyznaczał ten swoisty katalog zachowań będący sprawdzonym w praktyce drogowskazem wskazującym normy zachowania życia codziennego każdego Rzymianina. *Mos maiorum* było przeciwieństwem *res novae*, czyli rzeczy nowych, niesprawdzonych, które wiązały się z współczesnym pojęciem rewolucji, a więc czegoś co wprowadza chaos.[1] Można powiedzieć, że Rzymianie wpatrzeni w spuściznę i wartości przodków prezentowali tradycjonalistyczny model społeczeństwa.

Wpisującym się w ten kanon wartości pojęciem jest *virtus* oznaczający męstwo. To właśnie ta wartość określała umiejętność rozróżnienia dobra od zła, postępowania godnego i niehonorowego. Mężny Rzymianin był obrońcą dobra ojczyzny, rodziny, a w końcu własnego interesu.[2] Tak pojęte męstwo wynikało z *fides*, czyli wierności danemu słowu i wymienionym wcześniej zasadom.[3] Aby sprostać wypełnianiu powyższych zasad potrzebna była samokontrola, panowanie nad samym sobą, opanowanie ducha, czyli *gravitas*- powaga.[4] Na wypełniającego powyższe cnoty czekała nagroda, czyli szczęście- *dignitas*, oraz poważanie i autorytet- *auctoritas*. [5] Rzymianin, który wcielał w życie powyższy kanon wartości stawał się miły bogom i mógł cieszyć się ich wsparciem w każdym aspekcie swojego życia. Taka postawa oprócz przywilejów duchowych niosła ze sobą także i nobilitację społeczną. Im wyższy status społeczny rodziny tym większe wymagania i surowsze wypełnianie *mos maiorum*, które sobie stawiała.

Religijność rzymska była politeistyczna. Rzymianie wierzyli w bogów mieszkających na Olimpie, aż po duchy mieszkające w domach, drzewach, kamieniach, czy te obecne w zjawiskach atmosferycznych. Panteon bogów rzymskich był zhierarchizowany. Na czele najstarszego panteonu rzymskiego, czyli *Di Indigetes* (bóstw rodzimych) stała triada Jowisz, Marsz i Kwirynus, oraz Westa i Janus. Jednakże już za czasów panowania dynastii Tarkwiniuszy wykrystalizowała się nowa triada, na której czele stał wszechwładny Jowisz, który był bogiem potężnym i surowym. Do zdefiniowanej przez Tarkwiniuszy triady głównych bóstw zaliczano także królową bogów czyli Junonę i boginię dziewicę Minerwę. Domem wyżej wymienionej triady był *Mons Capitolinus*, czyli świątynia Kapitolńska położona na wzgórzu rzymskim na północny zachód od [Palatynu](#) i [Forum Romanum](#). To właśnie według legendy Kapitol był jedyną częścią miasta, która oparła się najazdowi [Galów](#) w roku 390 p.n.e. To tu znajdowała się największa świątynia rzymska- *Templum Iovis Optimi Maximi*. Wzgórze kapitolńskie jako pierwsze miejsce schronienia Rzymian stało się wkrótce świętym centrum Rzymu, jako symbol opieki boskiej nad społecznością. Jednak aby bogowie łaskawym okiem spoglądali na Rzym trzeba było o nie dbać, stąd składane liczne i regularne ofiary ze zwierząt, czy też festiwale połączone z ćwiczeniami wojskowymi w *Circus Maximus*.^[6] Wierzenia starożytnych Rzymian były także przesiąknięte wpływami politeizmu greckiego, stąd w obu panteonach obecność boga Apolla. Także pod wpływem prądów hellenistycznych, zaczęły pojawiać się kulty bóstw wschodnich, takich jak Izyda, czy Mitra.

W takiej rzeczywistości rozwijała się „nowa religia”- chrześcijaństwo. Pierwsza styczność społeczeństwa antycznego Rzymu z tą nową religią miała miejsce około I połowy I wieku po narodzeniu Chrystusa, w rzymskiej prowincji- Judei. Początkowo chrześcijaństwo było słabe, oraz

uzależnione od judaizmu, którego nienawiść do wyznawców Chrystusa stale narastała, co w szczególności było wynikiem nowego systemu wartości oferowanego przez tę religię. [7] Świat rzymski do chrześcijan odnosił się z nieufnością. Przełomowym momentem dla ekspansji wyznawców Chrystusa nadszedł wraz z misyjną działalnością świętego Pawła z Tarsu. To właśnie Paweł wyszedł z hermetycznego zamknięcia i zaczął głosić tezę iż wyznawcą chrześcijaństwa może zostać każdy człowiek, nie tylko członek gminy żydowskiej. To właśnie za sprawą świętego Pawła, którego podróże w latach 45 – 54 n.e. pozyskały nowych wyznawców chrześcijaństwo wkroczyło w nową erę - dynamicznego podboju. Ta dynamika jak i ekspansywność nowej religii doprowadziła do powstania pierwszych gmin chrześcijańskich zakładanych poza rzeczona prowincją. Ewangelia jesusowa zaczęła docierać także na tereny Półwyspu Apenińskiego. *Christianoi ekklesia* w latach 40 istniał już w największych miastach Italii i Puteoli. [8]

Chrześcijaństwo będące *res novum* w społeczeństwie antycznym, którego politeizm wykluczał proponowany przez chrześcijan monoteizm, stanęło w obliczu swoistej inwazji, która miała podważyć nie tylko rzymski system religijny, ale także i system władzy. Ustrój społeczny, który w Rzymie określany był jako *regnum caesaris*, czyli królestwo cezara, które jednocześnie było *regnum dei*, czyli królestwem bożym na ziemi. [9] Chrześcijanie ze swoją religią, która jako jedyne władcę uważała Boga burzyła całkowicie ten system. Pierwsza fala prześladowań, która spadła na chrześcijan była inspirowana przez cesarza Nerona. Dalsze represje kontynuował cesarz Domicjan, który prześladowania motywował negowaniem przez chrześcijan bóstw rzymskich, nie składanie im ofiar, oraz tworzenie tajnych stowarzyszeń i wrogość do społeczeństwa rzymskiego. Według Rzymian chrześcijanie, którzy odrzucali kodeks normujący życie społeczne żyli na uboczu, jako intruzi,

którzy według Tacyta byli powodowani nienawiścią wobec rodzaju ludzkiego.[10] Mimo skrajnych przeciwności i wrogości społeczeństwa rzymskiego, którego coraz częściej wewnętrzna niewiara nadrabiała zewnętrznymi formami pobożności, chrześcijaństwo trafiło na podatny grunt. Według większości autorów proces ten rozwijał się stopniowo, a podwaliny pod *Christianoi ekklesia*, podłożyła nie tylko praca misyjna świętego Pawła, ale także i krew tysięcy męczenników, których świadectwo stało się kamieniem węgielnym. Na tym tle wyróżnia się wspomniany już Wipper, dla którego chrześcijaństwo jest zwykłą sektą, która rewolucyjnie wdarła się w dusze antycznych Rzymian prowadząc ich ku upadkowi. Lecz czy ewolucję antycznej cywilizacji rzymskiej, której tradycja odrodziła się w *nowym Rzymie*- tym katolickim, który stał się twórcą nowej cywilizacji europejskiej, można nazwać upadkiem? Znane są liczne teksty biblijne, które w sposób metaforyczny nawołują do walki, jak choćby „List do Koryntian”- „Służmy więc bracia, z całą gorliwością pod rozkazami wodza nieskazitelnego. Pomyślmy o żołnierzach na wyprawie wojennej, jak są zdyscyplinowani, ulegli, jak posłusznie wypełniają rozkazy swoich dowódców”, czy psalmy takie jak chociażby Psalm 144 (Dawidowy)- „Błogosławiony Pan – Opoka moja, On moje ręce zaprawia do walki, moje palce do wojny. On mocą dla mnie i warownią moją, osłoną moją i moim wybawcą, moją tarczą i Tym, któremu ufam, Ten, który mi poddaje ludy.” Jak dodamy do powyższych cytatów teksty starotestamentowe opisujące wojny prowadzone przez Naród Wybrany- Izrael, możemy dojść do wniosku, że chrześcijaństwo nie było, jakbyśmy to dziś określili, religią pacyfistyczną. Tymczasem właśnie ów „pacyfizm” stał u podstaw wczesnych wierzeń chrześcijańskich. Służba w wojsku, czy też walka w obronie władcy była dla pierwszych chrześcijan nie do pogodzenia z ich wiarą, stąd do czasów Marka Aureliusza próżno szukać ich w szeregach armii rzymskiej.

Pierwsze zmianki o chrześcijanach służących w rzymskim wojsku, zawdzięczamy Tertulianowi, synowi centuriona prokonsularnego, którego św. Hieronim opisał jako- „męża wykształconego i płomiennego serca”. [11] To właśnie Tertulian opisał cud, do którego rzekomo miało dojść podczas starcia z Galami, kiedy to chrześcijańscy żołnierze za sprawą modłów sprowadzili na ziemię deszcz. Zdarzenie to zostało poświadczane w liście do senatu, który sporządził Marek Aureliusz. [12] Legion XII został z tej okazji obdarzony w 174 r. n.e. przez cesarza Marka Aureliusza nazwą *Fluminata*, czyli „gromowładny”. Nieco więcej na ten temat napisał Euzebiusz z Cezarei, który tak opisuje tamte wydarzenia:

Wówczas żołnierze tak zwanej legji meliteńskiej, którą wiara od onych czasów zachowała aż do dni naszych, już ustawieni w szyku bojowym przeciwko nieprzyjacielowi, padli na kolana, jak to zazwyczaj czynimy przy modlitwach naszych, i zwrócili się do Boga z błaganiem. Już na ten widok zdziwienie ogarnęło nieprzyjaciół, lecz równocześnie prawie zdarzyła się, jak niosą wieści, rzecz jeszcze dziwniejsza. Nawałnica zmusiła wrogów do ucieczki i sprawiła wśród nich spustoszenie, deszcz natomiast rześysty orzeźwił wojsko tych, którzy wzywali pomocy bożej, a którzy wszyscy przed chwilą mieli zginąć z pragnienia.[13]

Na uwiarygodnienie tej relacji Euzebiusz przywołuje także „pogańskie” źródła, takie jak choćby Klaudiusza Apolinarego z Hierapolis, który to (według Euzebiusza) po raz pierwszy wzmiankował o nadaniu Legionowi przydomka „gromowładny”. [14]

Jednakże w wyniku prześladowań rozpętanych przez współcesarza Licyniusza- władcy wschodniej części Imperium Romanum, legionieści z Legionu XII zostali zmuszeni przez niego do oddania hołdu bożkom pogańskim, oraz wyrzeczeniu się wiary w Chrystusa. Legionieści odmówili wykonania rozkazu. Przez cały czas kary, która ich spotkała modlili się i

psalmami oddawali hołd Chrystusowi. Za świadectwo wiary, które dali przed innymi, Licyniusz kazał ich ukamieniować, co ostatecznie się nie powiodło. Zostali oni poddani jeszcze gorszej karze stojąc bez odzienia na mrozie, aby następnie ich zamrożone ciała spalono w okolicach Sebasty. Legioniści z *Legio Fluminata* zostali uznani świętymi Kościoła Katolickiego i prawosławnego.

Mimo to dyskusja wśród chrześcijan co do służby w armii była nadal żywa i nie rozstrzygnięta. Warto tutaj powrócić do wspomnianego już Tertuliana, który napisał w swoim dziele- „Pan rozbijając Piotra, pozbawił tym samym miecza każdego chrześcijanina. Nie wolno mieć żadnego wyposażenia, skoro czynności przy jego pomocy są niedozwolone”. Służbę jak i walkę Tertulian uważał za odstąpienie od wiary, czyli apostazję. W opozycji do Tertuliana staje Nowy Testament, w którym możemy przeczytać- „Lecz teraz, kto ma trzos, niech go weźmie, podobnie i torbę, a kto nie ma miecza, niech sprzeda suknię swoją i kupi.”, w innym fragmencie Jezus Chrystus napomina żołnierzy, aby poprzestali na swoim żołdzie i nie czynili więcej ponad to co do nich należy. Wykładnię teologiczną Tertuliana zweryfikuje i zmodyfikuje później św. Augustyn, który wprowadzi do świata chrześcijańskiego pojęcie *bellum iustum*, czyli wojny sprawiedliwej.

Postacią, która reformuje tezy Tertuliana jest Orygenes, który uważa, że zjednoczenie Rzymu jest konieczne, nawet przy użyciu siły, lecz chrześcijanie nie mogą brać w tym udziału. W swoim dziele „Przeciwko Celusowi” opisuje on walkę chrześcijanina ze światem, lecz nie tą fizyczną tylko duchową. Według Orygenesesa chrześcijanin toczy wewnętrzną walkę z legionami demonów, które pod wodzą księcia tego świata (szatana) chcą opanować dusze pobożnych wiernych. [15] Autor tego dzieła jasno określa postawę chrześcijan wobec służby w armii rzymskiej:

Celus wzywa nas, byśmy brali udział w obronie ojczyzny jako dowódcy wojskowi; niechże się więc dowie, że my to przecież robimy, ale nie dla pochwał i poklasku tłumu: w tajemnicy, w głębi duszy modlimy się jak kapłani za swoich współobywateli. [16]

Według Orygenesusa to właśnie taka walka bardziej służy Rzymowi niż tysiące mieczy, ponieważ to dzięki nieustannym modłom chrześcijanie chronią i dbają o dusze wszystkich Rzymian. W sukurs Orygenesowi idą inni autorzy tacy jak Laktancjusz, czy Cyprian z Kartaginy, dla których sama wojna jest czymś niedopuszczalnym, niesprawiedliwym. Jak widać na tych kilku przykładach ówczesni myśliciele chrześcijańscy jednoznacznie potępiali fizyczny udział ochrzczonych w działaniach wojennych prowadzonych przez rzymską armię.

Wraz z przewagą nowej religii nad pogańskimi wierzeniami starożytnego Rzymu pojawiają się warunki sprzyjające asymilacji chrześcijan ze społeczeństwem rzymskim. Okres krwawych prześladowań, który trwał za panowania Septymiusza Sewera, dobiegł końca. Ręką wyciągniętą przez Rzym w stronę chrześcijan był tzw. „edykt Karakali”, który przyznawał wszystkim wolnym mieszkańcom Imperium Rzymskiego prawa obywateli rzymskich. Edykt okazał się korzystny dla chrześcijan, którzy dzięki niemu stali się równymi wobec innych obywatelami rzymskimi, co niosło za sobą także aspekt finansowy, oraz możliwość awansu społecznego (także dzięki służbie w armii).

Z biegiem lat postrzeganie walki zbrojnej przez chrześcijan zaczęło ewoluować. Kamieniem węgielnym pod nową doktrynę *ecclesia militans*, czyli Kościoła walczącego podłożył św. Augustyn z Hippony, doktor Kościoła Katolickiego. To właśnie on rozpowszechnił i wyniósł do rangi cnoty pojęcie *bellum iustum*, czyli wojnę sprawiedliwą, która może być toczona za pomocą siły w obronie wiary, Kościoła, oraz własnego życia. Św. Augustyn był pod wrażeniem pism Cyncerona, który był dla niego

mistrzem pięknego języka, oraz jego przewodnikiem wczesnych lat. [17] To właśnie Ciceron jako jeden z pierwszych usprawiedliwił słuszną walkę.

Jeśli chodzi o usprawiedliwienie wojny, w problematyce tej mamy także i polski akcent. W *Saevientibus*, jednym z pism z czasu soboru w Konstancji Paweł Włodkowic przytoczył warunki jakie powinna spełnić wojna sprawiedliwa:

- podmiot (osoba wojująca winna nadawać się do walczenia, czyli być osobą świecką, ponieważ duchownemu nie wolno rozlewać krwi z wyjątkiem wypadku nieuniknionej konieczności);
- przedmiot (odzyskanie bezprawnie utraconej własności lub obrona ojczyzny);
- przyczyna (chęć osiągnięcia pokoju);
- duch (wojna nie może być prowadzona z nienawiści, żądzy zemsty ani chciwości, a jedynie z miłości, sprawiedliwości i posłuszeństwa);
- upoważnienie (może pochodzić jedynie od monarchy, a w wypadku wojny za wiarę – od Kościoła).

Na fundamencie sojuszu antycznego Rzymu i chrześcijaństwa powstała cywilizacja europejska, którą znamy. Charles Maurras w dziele *La Démocratie religieuse* napisał: *Jestem Rzymianinem, gdyż od konsula Mariusza i boskiego Juliusza aż po Teodozjusza zarysował się pierwotny ideał Francji. Jestem Rzymianinem, gdyż to Rzym, Rzym księży i papieży, dał wieczność uczuciom, metodom, kultowi, dziełu politycznemu całych pokoleń urzędników i sędziów. Jestem Rzymianinem, gdyż gdyby moi ojcowie nie byli takimi Rzymianami, jakim ja jestem, to pierwsza inwazja barbarzyńców między V a X wiekiem uczyniłaby moją ziemię ziemią niemiecką lub norweską. Jestem Rzymianinem, gdyż bez opieki romańskiej druga faza inwazji barbarzyńców, która miała miejsce w XVI wieku, inwazja*

protestancka, uczyniłaby moją ziemię ziemią szwajcarską. Jestem Rzymianinem w bogactwie bytu historycznego, intelektualnego i moralnego. Jestem nim, gdyż gdybym nie był, nie byłoby we mnie nic francuskiego. (...) Dzięki temu skarbcowi, który otrzymał z Aten i przekazał mojemu Paryżowi, Rzym stał się cywilizacją i człowieczeństwem. Do spuścizny antycznego Rzymu odwoływali się także w swoich pismach Leon Degrelle, Jose Antonio Primo de Rivera, powstańcy generała Franco (szczególnie w sferze propagandowej), czy wspomniany Benito Mussolini, który bezpośrednio odwoływał się w swojej ideologii do lat świetności Imperium Romanum. Kanon wytworzony przez Rzymian stał się dla późniejszych pokoleń przykładem samodyscypliny i doskonalenia się zarówno w zakresie duchowym jak i fizycznym, w służbie społeczeństwu i ojczyźnie.

Ten krótki materiał jest wstępem do dalszych części poświęconych tej tematyce, jak i zachętą do dalszych badań nad fascynacją antykiem w europejskiej kulturze i cywilizacji.

C. D. N.

Oleś Wawrzkowicz

[1] T. R. Martin, *Starożytny Rzym od Romulusa do Justyniana*, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie 2014, s. 43.

[2] *Ibidem*, s. 43.

[3] *Ibidem*, s. 44.

[4] *Ibidem*, s. 44.

[5] *Ibidem*, s. 44.

[6] T. R. Martin, *Starożytny Rzym od Romulusa do Justyniana*, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie 2014, s. 60.

- [7] A. Ziółkowski, *Historia powszechna, starożytność*, Warszawa: Wydawnictwo naukowe PWN SA 2014, s. 855.
- [8] Ibidem, s. 857.
- [9] R. J. Wipper, *Rzym i wczesne chrześcijaństwo*, Warszawa: Książka i wiedza 1960, s. 163.
- [10] M. Simon, *Cywilizacja wczesnego chrześcijaństwa I- IV w.*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1979, s. 119.
- [11] *Pisma Ojców Kościoła*, J. Sajdak (red), Poznań: Księgarnia akademicka 1947, s. 151
- [12] Ibidem, s. 26.
- [13] H. Pietras SJ, *Euzebiusz z Cezarei Historia Kościelna*, Kraków: Wydawnictwo WAM 2013, s. 211- 212.
- [14] Ibidem, s. 212.
- [15] Orygenes, *Przeciwko Celusowi*, www.zrodla.historyczne.prv.pl 2015, s. 349.
- [16] Ibidem, s. 389.
- [17] M. Simon, *Cywilizacja wczesnego chrześcijaństwa I- IV w.*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1979, s. 324.